

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Adam Mickiewicz

**WIERSZE
FILOMACKIE**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ZIMA MIEJSKA

Przeszły dżdże wiosny, zbiegło skwarne lato
I przykre miastu jesienne potopy,
Już bruk ziębiącą obleczony szatą,
Od stalnej Fryzów nie krzesany stopy.

Więżeni słotą w domowej katuszy,
Dziś na swobodne gdy wyjrzem powietrze,
Londyński pojazd tarkotem nie głośzy
Ani nas kręgi zbrojnymi rozetrze.

Witaj! narodom miejskim pora błoga,
Już i Niemeńców, i sąsiednich Lechów
Tu szuka ciżba, tysiącami mnoga,
Zbiegłych Dryjadom i Faunom uśmiechów.

Tu wszystko czerstwi, weseli, zachwyca,
Czy ciągnę tchnienie, co się zimnem czyści,
Czy na niebieskie zmysł podniosę lica,
Czyli się śnieżnej przypatruję kiści;

Jedna z nich pływa w niepewnym żywiole,
Druga ciężarem sporsza już osiadła;
Tą wiatr poleciał stwardniałe kryć role
Albo pobielic Wiliji zwierciadła.

Lecz kogo sioło dzisiejsze uwięzi.
Zmuszony widzieć łyse gór wiszary,
Grunt dziki, knieję nagimi gałęzi
Niesilną zimne podźwignąć ciężary -

Taki, gdy smutna ciągnie się minuta,
Wreszcie zmieniony kraj porzuca z żalem
I dając chętnie Cererę za Pluta,
Pędzi wóz ku nam ciężarny metalem.

Tu go przyjmują gościnne podwoje,
Rzeźbą i farbą odziany przybytek,
Tutaj rolnicze przepomina znoje
W pieszczonym gronie czarownych Charytek.

Na wsi, za ledwie czarna noc rozrzednie,
Każe wraz Ceres wczesny witać ranek,
Tu, chociaż słońce zajmie nieba średnie,
Śpię atlasowym pod cieniem firanek.

Lekkie nareszcie oblókłszy nankiny,
Modnej młodzieży przywoływać koło;
Stojem poranne zbywamy godziny
Albo rozmową bawim się wesołą.

Ten, w śniący kryształ włożywszy oblicze,
Wschodnim balsamem złoty kędzior pieści,
Drugi stambulskie oddycha gorycze
Lub pije z chińskich ziół ciągnięte treści.

A kiedy chwila dwunasta nadbieży,
Wraz do śliskiego wstępuję powozu,
Sobol lub rosmak moje barki jeży
I suto zdobiąc nie dopuszcza mrozu.

Na sali, orszak przywitam wybrany,
Wszyscy siadają za biesiadnym stołem,
W kolej szlę pełne smaków porcelany
I sztucznym morzą apetyt żywiołem.

Pijemy węgry, mocny setnym latem,
Wrą po kryształach koniaki i pące,
Płci piękna gasi pragnienie muszkatem,
Co dając rzeźwość, myśli nie zapłące.

A gdy się trunkiem zaiskrzą źrenice,
Dowcipne, czule wszystkim płyną słowa,
Niejeden uwdzięk zarumieni lice,
Niejedna wzrokiem zapala się głowa.

Nareszcie słońce znizone zagasło,
Rozsiewa mroki dobroczynna zima,
Boginie dają do rozjazdu hasło,
Zagrzmiały schody i już gości nie ma.

Którzy są z szczęściem poufali ślepem,
Pod twój znak idą, królu Faraonie,
Lub zręczni lekkim wykręcać oszczepem,
Pędzą po suknach wytoczone słońce.

A gdy noc ciemne rozepnie zasłony
I szklannym światłem błysną kamienice,
Młodzież, dzień kończąc wesoło spędzony,
Tysiączną sanią szlifuje ulice.

[Hej, radością oczy błysną...]

Hej, radością oczy błysną
I wieniec czoła okrasi.
I wszyscy się mile ścisną:
To wszyscy bracia! To nasi!

Pochlebstwo. chytryść i zbytek
Niech każdy przed progiem miota,
Bo tu wieczny ma przybytek
Ojczyzna, nauka, cnota.

Braterstwa ogniwem spięci,
Zdejmijmy z serca zasłonę,
Otwórzmy uczucia i chęci.
Święte, co tu objawione!

Tu wspólne koją cierpienia:
Przyjaźń, wesołość i pienia.

Ale kto w naszym jest gronie,
Śród pracy czy śród zabawy,
Czy przy pługu, czy w koronie,
Niechaj pomni na **Ustawy!**

Pomni na przysięgę swoją
I w każdej chwili żywota
Niechaj mu na myśli stoją:
Ojczyzna, nauka, cnota.

Dojdziemy, choć przykrą drogą,
Gdy brat bratu rękę poda,
Bo nam i nieba pomogą,
I męstwo, praca i zgoda!

PIEŚŃ FILARETÓW

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.

Hejże do niej wesoło!
Niechaj obiega w koło,
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil!

Po co tu obce mowy,
Polski pijemy miód;
Lepszy śpiew narodowy
I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
Wlazłeś, nie żebyś gnił;
Byś bawił się jak Greki,
A jak Rzymianin bił.

Ot tam siedzą prawnicy,
I dla nich puchar staw,
Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.

Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na wolności szczyt;
Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam, bracia, cyt! tam cyt!

Kto metal kwasi, pali,
Skwasi metal i czas;
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas.

Ten się wśród mędrców liczy,
Zna chemiją, ma gust,
Kto pierwiastek słodczy
Z lubyh wyciągnął ust.

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stop.

Dziś gdy chce ruszać światy
Jego Newtońska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie: dość.

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył;
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił.

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skałą,
Jedność większa od dwóch.

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Tu stoi czara złota,
A wnet przeminie czas.

Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadniem toń;
To oko zamknie Feli,
To Filarecka dłoń.

ODA DO MŁODOŚCI

Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy;
Młodości! dodaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajsą dziedzinę ułudy:
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka w nadziei złote malowidła.

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępyimi zakreśla oczy.
Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca.

Patrz na dół - kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar gnuśności zalany odmęttem;
To ziemia!
Patrz. jak nad jej wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali;
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali;
A wtem jak bańka prysnął o szmat głązu.
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.
Razem, młodzi przyjaciele!...
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele;
Jednością silni, rozumni szaleń,
Razem, młodzi przyjaciele!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległym ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!...
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody zdusi Centaury,
Piekle ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury.
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie:
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię.

Hej! ramię do ramienia! spólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej, bryło, z posad świata!
Nowymi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednym „stań się” z bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnia -

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha:
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie;
Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha:
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie.

Pryskają nieczułe lody
I przesady światło ćmiące;
Witaj, jutrzeńko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

IMPROWIZACJA

Z POWODU WYSYŁANIA FILARETÓW
NA LINIĘ KAUKASKĄ D. 12 PAŹDZIERNIKA
1824 R. O GODZINIE 4. RANNEJ

Muszę zakończyć ja, com zaczynał,
Gdy padł mrok, - a wschodzi słońce;
Jam dał początek, dam teraz finał
I złączę pieśni dwa końce.

Nie dosyć na tych dostarczasz wątek,
Młody poeto i bracie!
Słyszę, że blisko nadchodzi Piątek,
O Piątku posłuchać macie.

Jak Ów, co, święty stworzyciel wiary.
Umęczon był przez gmin dziki,
Równe tu chęci, równe zamiary
I równe są męczenniki.

On najcelniejszy ze wszystkich świątek
Dzień sobie święty zapisał;
On był, o bracia! umęczon w Piątek,
Nim się na skrzydłach kołysał.

Nim się kołysał, skoczył z Taboru,
Wprzód pośród śmierci był cieni;
Nim anielskiego posłuchał choru,
Bili go kaci zjuszeni.

Wy, coście poszli w Chrystusa ślady,
My was wielbimy mniej sztucznie,
Ale na wieki z was brać przykłady
Przyrzekają wierni uczniu.

Gdy na wielkiego Uralu czoło
Poszłą najeźdźnicy podli,
Gdy będzie warzeć pocztowe koło,
Duch się za wami pomodli.

Ten, co aniołom słusznie w urzędzie
Włada na niebieskim tronie.
Anioł was jego piastować będzie,
W okropnej drogi przegonie.

Ci, co zostają, z myśli nie stracą
Pamiętki tego wieczora. -
Ach! niegdyś wspólnie szliśmy tam... pracą,
Lecz stopa nasza mniej skora.

Wy pierwsi poszli, pierwsi cierpicie,
I pierwsi zyskali chwałę. -
Nam cała wolność, nam całe życie,
Lecz serca nasze nie całe!

DO JOACHIMA LELEWELA

Z okoliczności rozpoczęcia kursu historii
powszechnej w uniwersytecie wileńskim,
dnia 9 stycznia 1822 r.

*Bellorum causas et vitia, et modos
Ludumque Fortunae, gravesque
Principum amicitias, et arma...
Periculosae plenum opus aleae
Tractas, et incedis per ignes
Suppositos cineri doloso.
Horat. L. II. c. 1.*

O, długo modłom naszym będący na celu,
Znowuż do nas koronny znidzisz LELEWELU!
I znowu cię obstąpią pobratymcze tłumy,
Abyś naprawiał serca, objaśniał rozумы.
Nie ten, co wielkość całą gruntuje w dowcipie,
Rad tylko, że swe imię szeroko rozsypie .
I że barki księgarzom swymi pismy zgarbi:
Nie taki ziomek serca na wieczność zaskarbi;
Ale kto i wyższością sławy innych zaćmi,
I sercem spółrodaka żyje między braćmi.
LELEWELU, w oboim jak ci zrównać blasku?
Szczęśliwyś i w przyjaciół, i w prawd wynalazku.
Oto nad wiek młodziana przerosłeś niewiele,
Tobie mędrszemu siwe zajrzą Matuzele;
Imię twoje wybiegło za Chrobrego szranki,
Między teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki;
A jak mocno w litewskim uwielbianyś gronie,
Publicznie usta nasze wyznają i dłonie.

Już długo z sal uczonych wracało na sucho
Łakome, a przez ciebie znarowione ucho;
Zacznij słynąc cudami dla uczniów natłoku,
Coś je tylekroć sprawił w onegdajszym roku,
Gdy twoim czarodziejskim użyciem sposobów
Greckie i Rzymian cienie ruszałeś spod grobów.
Wstają z martwych, przechodzą na prawdy zwierciadła.
Od czoła ich Plutona przyłbica odpadła
I żelazne na piersiach łamią się pokrycia,

W których myśli i chęci taili za życia.
Oto mędrzec Fedona, to Persów zabierca:
Patrzym w bezdenność myśli, w labirynt ich serca.
Tam iskra światła, ówdzie nasiona potęgi,
Gdy je zdarzeń pomyślnych wzmaga oddech tęgi,
Iskra łunę roznieca, z nasionek wylęga
Olbrzym dosięgający brzegów ziemiokręga.
Tak dzielne genjusze panują nad światem;
Teraźniejszość upada przed ich majestatem;
Stworzenia, które kiedyś wyda przyszłość mętna,
Niosą kolor ich blasku lub ich razów piętna.
Ale równa jest wielkość, czy to światu władać,
Czy skutki wielkiej władzy nad światem wybadać.

Nieraz miasto w podziemną rozpadlinę gruchnie,
Słońce kirem zachodzi, woda płomień buchnie;
Nadarzeń się takowych mnogie żyją świadki,
Przecież ich źródła dociec umie arcyzadki;
A na podobnej liczbie jeszcze gorzej zbywa,
Co by, różnego wątek spajając ogniwa,
Potrafili wybadać za rozsądku wodzą:
Jak się z przyczyny wspólnej różne skutki rodzą,
Jak podziemny wypadek morzem zakołata
I niebieskiego sprawi zaburzenie świata.

Z mniejszości postępujemy ustawnie do góry,
Z martwej, przejdźmy w krainę żyjącej natury.
Kędy ludzkość jest światem, żywiołami duchy,
Jak śledzić przyczyn, związać następów łańcuchy?
Tu zaćmi nieskończona różność widowiska,
Tu po obcych świadectwach droga myśli śliska,
A bóstwo Prawdy, skąpiąc nagiego promienia,
Pełni swojej nie raczy ukazać spod cienia.
Bo jej trudno dostrzeże, choć kto oczy wlepi;
Od dzieciństwa jesteśmy długo na nią ślepi.
Skoro zacniem przezierać, że nie dosyć bystrze,
Podejmują się obcy nam usłużyć mistrze;
I szkła swojej roboty wsadzają na oko,
Przez które widać szerzej i więcej głęboko.
Ale jaką im barwę dał mistrz wynalazku,
W takim wszystkie przedmioty okazują blasku.
Stąd cudze malowidła, własne wzroku skazy,
Omyłką na zewnętrzne przenosim obrazy.
Człowieku, sługo wieczny! bo nie tylko zmysły,
Ale i sądy twoje od drugich zawisły.
Pierś dziecinną ojcowskie napełniają czucia,
Gdyś młody, uciskają zwyczajów okucia.
Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie,
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie;
Albo nim nauczyciel poił ucho twoje,

Zawždy część własnej duszy mieszając w napoje.
A tak, gdzie się obrócisz, z każdej wydasz stopy,
Żeś znad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy.

A słońce Prawdy wschodu nie zna i zachodu,
Równie chętne każdego plemionom narodu,
I dzień lubiące każdej rozszerzać ojczyźnie,
Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.
Stąd, kto się w przenajświętszych licach jej zacieka,
Musi sobie zostawić czystą treść człowieka,
Zedrzyć wszystko, co obcej winien jest przysłudze,
Własności okoliczne i posagi cudze.

Ku takim pracom niebo dziejopisa woła.
Odważają się liczni, ale któż wydoła?
Tylko sam, komu rzadkim nadało się cudem
Złączyć natchnienie boskie z ziemianina trudem,
Nad burzę namiętności, interesu sieci,
Z pomroków ducha czasu nad gwiazdy wyleci;
Uważa, skąd dla ludów przyszła ryknie burza,
Albo się pod otchłanie przeszłości zanurza;
Grzebiąc zapadłe wieków odległych ciemnoty,
Wykopuje z nich prawdy kruszec szczerocioty.
LELEWELU! rzetelną każdy chlubę wyzna,
Ze ciebie takim polska wydała ojczyzna.
Na świętym dziejopisa jaśniejąc urządzie,
Wskazujesz nam, co było, co jest i co będzie.

Pierwszy towarzyskiego widzimy obraz stanu
Od łożyska Eufratu po wieże Libanu.
Na równiach nie dzielonych żadnymi przegrody:
Tam naprzód w wielkie ciało zrosły się narody;
Zaraz na karku onych ciemńeycy usiedli,
Miasta wałem, a ludy łańcuchem obwiedli.

Ówdzie między wysepki i morskie rękawy
Drobny Greczyn urządzał pospolite sprawy,
Ruchem do mirmidońskich podobny zwierzątek,
Od których słusznie mniemał wyciągać początek.
W cudzych osiada miastach, lecz je sam bogaci,
Przychodnim bogom swojskie nadaje postaci;
Dla nieznanym cór nieba pierwszy w jego rodzie
Wystawiono Piękności kościół i Swobodzie.
Tych natchnieniem Helenin gdy piersi zagrzewał,
Walczył, rozprawiał, kochał, nauczał i śpiewał.

Lecz już medańska szabla okrąży dokoła,
Bałwanowi wschodniemu świat uchylił czoła,
Trzaskiem samowładnego napędzona bicza
Wali się od Kaukazu zgraja niewolnicza.

Kserkses ludy podeptał, miasta porozwalał,
Morza flotą zahaczył, lądy tłumem zalał;
Wtem z małej chmurki greckiej gdy pioruny padną,
Rozprysnęły się tłumy, floty poszły na dno.

Zgubnego Europejczyk umknąwszy rozgromu,
Poszedł Azyjanina nękać w jego domu,
A na perskie węzłowia upuściwszy skronie,
Drzemał i na bok rzucił ordzewiałe bronie.
Tak swobodnie sennego zabrali w łańcuchy,
Wilcze Romula plemię, italskie pastuchy.
Kłótlivi przez własne wyuczeni zwady,
Jak gwałtem lub chytrością wyniszczą sąsiady,
Ustawni napastnicy, we chwilach pokoju
Ramiona do nowego krzepili rozboju;
Albo darli się z sobą, wtenczas tylko w zgodzie,
Kiedy społem o cudzej przemyślali szkodzie.
Lecz skoro zapaśnikom przeciwnych nie stało,
Z otyłości próżniackiej coraz słabnie ciało.
Rzym pastwi się nad światem, a tyran nad Rzymem,
Świat rzymski obumarłym staje się olbrzymem.

Któż w nieżyjących zwłokach nowy duch roznieci?
Wy, ogniste spod lodów skandynawskich dzieci.
Oto senijor pełnym odziany kirasem,
Niosąc kopiją w toku, różaniec za pasem,
Pobożności oddany, kochance i chwale,
Pod dach gotycki ściąga na ucztę wasale.
Damy wskazują wieńce, bardy w lutnie dzwonią,
Młodzież kopije kruszą albo w pierścień gonią.
Czulsze serce niż u nas biło im spod stali,
Oni najpierwsi z niebios Miłość przywołali
Serdeczną, i za dawnych nie cenioną wieków,
U duchownych Hebreów i cielesnych Greków.
Oni, kiedy praw słaba chwieje się budowa,
Krzepili ją łańcuchem rycerskiego słowa.
Aby naprawiać krzywdy, piękne zyskać względy,
Ważyli się na puszcze i zamorskie błędy,
Nowe herby z odległych przynosząc turnie
Lub krwią kupując palmę męczeńską w Judei.
Tymczasem na ich zamkach zasiadły opaty,
Ksiądz cisnął się do celi, a mniszka za kraty;
Na wystrzał bulli z tronów spadały korony,
Rzym powtórnymi ziemię opasał ramiony.
Aż królowie zadały przez pułkowe władze
Śmierć domowym rozruchom i obcej przewadze.

U ludów, gdzie społeczny gmach na pismach wsparty,
Panów i sług powinność objaśniły karty.
Takie na Albijońskim spisano ostrowie

I takie Jagiellony dali nam królowie.
Ale po innych władzach samowładna stopa
Buntujące się panky zniżyła do chłopa.
Hiszpańczyk dalej zrobił: od brzegów Gadesu
Dościгнаł aż do światów nieznajomych kresu;
Tam co rok z flotą chodzi, nowe skarby kopie
I żelazami całej pogroził Europie.
Naprzeciw chęciom jego inne pany dążą,
To otwarcie nastają, to się milczkiem wiążą,
Wzajem sobie nieufni, ustawnymi czaty,
Dla własnych zysków cudzej łaknący intraty;
Okno ich zawsze czujne, broń wiecznie dobytą.
Co jeden z rąk upuści, wnet dziesięciu chwytą.
Jeśli nie miał zawadzić kędy zęb łakomy
I sąsiednie pokojem zakwitnęły domy,
Pokłóć w dzień mieszkańców, w nocy ogień kładną,
Przybiegają ratować, i ratując kradną.
Wszystkie ziemie i ludy za swe mając spadki,
Rozdzielają na sprzedaż, wiano albo datki;
Raz jako napastnicy, znowu jak obrońce
Czasem dla okraślności cudze rwali końce.

Taką w całej Europie szły koleją sprawy,
Nim dojrzały w wulkanach nadsekwańskich lawy.
Tam zadawniony ucisk, ponawiane skargi,
Wieczne państwa świętego z doczesnym zatargi,
Wysokoci głów myślących, zapawy młodzików,
Duma panów, rozkutych wściekłość niewolników;
A jak ziemia, ciężarna sprzecznymi nasiony,
Z potwornym niegdyś cielskiem rodziła Pytony,
Tak z pomąconych chęci i myśli natłoku
Rewolucyjny Gallów wylągł się smoku!
Darmo go przemoc złamie iw piasek zagrzebie,
Posiane kły - mścicieli odradzają z siebie.
Kłótniwa wschodzi zgraja; w jednych chęć urasta
Platoniczne po ziemi odbudować miasta;
Drudzy skarbce do nowej znosili budowy,
Żeby z nich potem własne poczynić obłowy.
Gdy przeciwników szyję zgięli albo zsiekli,
Poszli cudzą przelewać, własną krwią ociekli.
Z gminowładnego wzleciał ptak cesarski gniazda,
I krwawa legijonów zabłysnęła gwiazda;
A choć teraz skruszone olbrzymy zachodnie,
Jeszcze na ziemię krew ich może działać płodnie.

Gdzież jestem, LELEWELU! jaka chęć uniosła
Opiewać morza, których nie tknęły me wiosła?
Poziomy płazik, orlej nabrawszy ochoty
Uczone myśleń twoich naśladować loty!
Wy ręczaj mię, bo w polskim dziejopisów kole

Wyniosły jesteście stanąć mający na czole.
Ty, co nie dozwoliłeś tylu księgom kłamać,
Z samego kłamstwa prawdę umiając wyłamać,
Znasz lepiej trudne twojej nauki ogromy,
Słodkości jej owoców sam lepiej świadomy, -
Głosem, którym okrzyki i przyklaski wznecisz,
Powiedz, jak tam zaszedłeś, skąd tak rano świecisz?
Na wierzchy, gdzie parnaska trzyma cię opoka,
Zwabiaj niższych łagodnym twego blaskiem oka.
Niejedne już zyskałeś z godniejszych rąk wieńce,
Nie gardź tym, jaki wdzięczni składają młodzieńce.
I daruj, jeśli będziemy chwalić się po świecie,
Że od Ciebie wzięliśmy na ten wieniec kwiatu.

POEZYJE,

TOM PIERWSZY

BALLADY I ROMANSE

PIERWIOSNEK

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek
Błysnął ze złotych obsłonek.

Ja
Za wcześnie, kwiatku, za wcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszyły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi sronu ząbek
Lub chłodnej rosy perełka.

Kwiatek
Dni nasze jak dni motylka,
Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka
Niż w jesieni całe grudnie.

Czy dla bogów szukasz datku,
Czy dla druha lub kochanki,
Upleć wianek z mego kwiatku,
Wianek to będzie nad wianki.

Ja
W podlej trawce, w dzikim lasku
Urosłeś, o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzeńki,
Ni zawoje tulipana,
Ni lilijowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.

Uplatam cię do wianka;
Lecz skądże ufności tyle!
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

Kwiatek
Powitają przyjaciele
Mnie, wiosny młodej aniołka;
Przyjaźń ma blasku niewiele
I cień lubi jak me ziołka.

Czym kochanki godzien rączek,
Powiedz, niebieska Marylko!
Za pierwszy młodości pączek
Zyskam pierwszą... ach! łzę tylko.

ROMANTYCZNOŚĆ

Methinks, I see... Where?

- In my mind's eyes.

Shakespeare

Zdaje mi się, że widzę... gdzie?

Przed oczyma duszy mojej.

Słuchaj, dziewczeczko!

- Ona nie słucha -

To dzień biały! to miasteczko!

Przy tobie nie ma żywego ducha.

Co tam wkoło siebie chwytasz?

Kogo wołasz, z kim się witasz?

- Ona nie słucha. -

- To jak martwa opoka
Nie zwróci w stronę oka,
To strzela wkoło oczyma,
To się łzami zaleje;
Coś niby chwyta, coś niby trzyma;
Rozpłacze się i zaśmieje.

„Tyżeś to w nocy? to ty, Jasieńku!
Ach! i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj, pomaleńku,
Czasem usłyszysz macocha!

Niech sobie słyszy, już nie ma ciebie!
Już po twoim pogrzebie!
Ty już umarłeś? Ach! ja się boję!
Czego się boję mego Jasieńka?
Ach, to on! lica twoje, oczki twoje!
Twoja biała sukienka!

I sam ty biały jak chusta,
Zimny, jakie zimne dłonie!
Tutaj połóż, tu na łonie,
Przyciśnij mnie, do ust usta!

Ach, jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś! tak, dwa lata!
Weź mię, ja umrę przy tobie,
Nie lubię świata.

Źle mnie w złych ludzi tłumie,
Płaczę, a oni szydzą;
Mówię, nikt nie rozumie;
Widzę, oni nie widzą!

Śród dnia przyjdź kiedy... To może we śnie?
Nie, nie... trzymam ciebie w ręku.
Gdzie znikasz, gdzie, mój Jasieńku!
Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej!

Mój Boże! kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku.
Gdzie znikłeś? ach! stój, Jasieńku!
Ja nieszczęśliwa”.
Tak się dziewczyna z kochankiem pieści,
Bieży za nim, krzyczy, pada;
Na ten upadek, na głos boleści
Skupia się ludzi gromada.

„Mówcie pacierze! - krzyczy prostota -
Tu jego dusza być musi.
Jasio być musi przy swej Karusi,
On ją kochał za żywota!”

I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Płaczę i mówię pacierze.
„Słuchaj, dziewczeczko!” - krzyknie śród zgiełku
Starzec, i na lud zawoła:
„Ufajcie memu oku i szkiełku,
Nic tu nie widzę dokoła.

Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
W głupstwa wywarzone kuźni.
Dziewczyna duby smalone bredzi,
A gmin rozumowi bluźni”.

„Dziewczyna czuje, - odpowiadam skromnie -
A gawieź wierzy głęboko;
Czucie i wiara silniej mówi do mnie
Niż mędrca szkiełko i oko.

Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskerce.
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!”

ŚWITEŻ

BALLADA

Do Michała Wereszczaki

Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać tve konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteż tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszcza oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się doba
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklanna spod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklanne stropy
Aż do nóg twoich ugina:

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga.
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułodzi;
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą!
Drzę cały, kiedy bają o tym starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz wśród wody gwar jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących, i wrzaski niewieście,
I dzwonów gwałt, i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza
I dziewic żałośnie modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą,
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Z dawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w bliskim robić mieście
I wielkie sypał wydatki;
Związano niewód, głęboki stóp dwieście,
Budują czółny i statki.

Ja ostrzegałem: że w tak wielkim dziele
Dobrze, kto z Bogiem poczyna,
Dano więc na mszę w niejednym kościele
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił,
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

Topi się, pławki na dół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka.
Prężą się liny, niewód idzie z cicha,
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło.
Ciagną ostatek wiewiórki;
Powiemże, jakie złowiono straszidło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże: nie straszidło wcale,
Żywa kobieta w niewodzie,
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży; a gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem;

„Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści,
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

I ty, zuchwały, i twoja gromada
Wraz byście poszli w głębinie,
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie -

Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.

Na miejscach, które dziś piaskiem zaniósł,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

Świtez, i w sławne orężem ramiona,
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona
Kwitnęła przez długie lata.

Nie ćmił widoku ten ostęp ponury;
Przez żyzne wskrós okolice
Widać stąd było Nowogródzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

Raz niespodzianie obległ tam Mendoga
Potężnym wojskiem Car z Rusi,
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
„Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
Spiesz, zwołaj twe towarzysze”.

Skoro przeczytał Tuhana list książęcy
I wydał rozkaz do wojny,
Stańto zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

Uderzą w trąby, rusza młodź, już w bramie
Błyska Tuhana porzecz,
Lecz Tuhana stanie i ręce załamię,
I znowu jedzie na dworzec.

I mówi do mnie: „Jaz własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsiecz?
Wszak wiesz, że Świtez nie ma innych szanców
Prócz naszych piersi i mieczy.

Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córki i żony?”

„Ojczy, odpowiem, lękaś się niewcześnie,
Idź, kędy sława cię woła,
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego anioła.

Okrażył Świtez miecza błyskawicą
I nakrył złotymi piórkami,
I rzekł mi: „Póki męża za granicą,
Ja bronię żony i córki”.

Usłuchał Tuhana i za wojskiem goni,
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar z dala, szczęk i tętent koni,
I zewsząd straszny wrzask: „ura!”

Zagrzmiały tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

„Gwałtu! - wołają - zamykajcie bramę!
Tuż, tuż za nami Ruś wali.
Ach! zgińmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali”.

Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu;
Miecz bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu
I krzyczą strasznymi głosy:

„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!”
Broniłam, lecz próżny opór,
Klęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topor.

Gotowa zbrodnia: czyli wezwać hordy
I podłe przyjąc kajdany,
Czy bezbożnymi wytepić się mordy;
„Panie! - zawołam - nad pany!

Jeśli nie mogę ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u ciebie,
Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela
Lub żywych ziemia pogrzebie.”

Wtem jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemna,
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
Już ziemi nie ma pode mną.

Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi;
Widzisz to ziele dokoła,
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

Białawym kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
List ich zielony jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

Za życia cnoty niewinnej obrazy,
Jej barwę mają po zgonie,
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

Doświadczył tego car i ruska zgraja,
Gdy, piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalony umaja,
Ten wianki na skronie plecie.

Kto tylko ściągnął do głębini ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie
I śmierć gwałtowna ugadza.

Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci
I kwiaty nazywa cary”.

To mówiąc pani zwolna się oddala,
Topią się statki i sieci,
Szum słyhać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło na kształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni,
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcej nie słyhać o niej.

ŚWITEZIANKA

BALLADA

Jakiż to chłopiec piękny i młody?
Jaka to obok dziewica?
Brzegami sinej Świtezi wody
Idą przy świetle księżyca.

Ona mu z kosza daje maliny,
A on jej kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka.

Każdą noc prawie, o jednej porze,
Pod tym się widzą modrzewiem.
Młody jest strzelcem w tutejszym borze,
Kto jest dziewczyna? - ja nie wiem.

Skąd przyszła? - darmo śledzić kto pragnie,
Gdzie uszła? - nikt jej nie zbada.
Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
Jak ognik nocny przepada.

„Powiedz mi, piękna, luba dziewczyno,
Na co nam te tajemnice,
Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?

Minęło lato, zżółkniały liścia
I dżdżysta nadchodzi pora,
Zawsze mam czekać twojego przyścia
Na dzikich brzegach jeziora?

Zawszeż po kniejach jak sarna płocha,
Jak upiór błądzisz w noc ciemną?
Zostań się lepiej z tym, kto cię kocha,
Zostań się, o luba! ze mną.

Chateczka moja stąd niedaleka
Pośrodku gęstej leszczyny;
Jest tam dostatkiem owoców, mleka,
Jest tam dostatkiem zwierzyny”.

„Stój, stój - odpowie - hardy młokosie,
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie,
A w sercu lisie zamiary.

Więcej się waszej obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapaly,
Może bym prośby przyjęła twoje;
Ale czy będziesz mnie stały?”

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świętym księżycu blasku,
Lecz czy dochowa przysięgi?

„Dochowaj, strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!”

To mówiąc dziewczka więcej nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie
I pożegnawszy strzelca z daleka,
Na zwykłe uchodzi błonie.

Próżno się za nią strzelec pomyka,
Rączył wybiegom nie sprostał,
Znikła jak lekki powiew wietrzyka,
A on sam jeden pozostał.

Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grząska,
Cisza wokoło, tylko pod nogą
Zwiędła szeleszcze gałązka.

Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędnymi strzela oczyma;
Wtem wiatr zaszumiał po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
O niesłychane zjawiska!
Ponad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.

Jej twarz jak róży bladej zawoje,
Skropione jutrenki łezką;
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.

„Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody -
Zanuci czule dziewica -
Po co wokoło Świteziu wody
Błądzisz przy świetle księżycy?

Po co żałujesz dzikiej wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje:
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy
I może jeszcze się śmieje?

Daj się namówić czułym wyrazem,
Porzuć wzdychania i żale,
Do mnie tu, do mnie, tu będziem razem
Po wodnym płasac krysztale.

Czy zechcesz niby jaskółka chybka
Oblicze tylko wód muskać,
Czy zdrów jak rybka, wesół jak rybka,
Cały dzień ze mną się pluskać.

A na noc w łożu srebrnej topieli
Pod namiotami zwierciadeł,
Na miękkiej wodnych lilijek bieli.
Śród boskich usnąć widziadeł”.

Wtem z zasłon błysną piersi łabędzie,
Strzelec w ziemię patrzy skromnie,
Dziewica w lekkim zbliża się pędzie
I „Do mnie, woła, pójdz do mnie”.

I na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnymi pryska kropelki.

Podbiega strzelec i staje w biegu,
I chciałby skoczyć, i nie chce;
Wtem modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Z lekka mu w stopy załechce.

I tak go łechce, i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozpływa,
Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnie kochanka wstydliva.

Zapomniał strzelec o swej dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą,
Na zgubę oślepi bieży w głębinie,
Nową zwabiony ponętą.

Bieży i patrzy, patrzy i bieży;
Niesie go wodne przestworze,
Już z dala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średnim igra jeziorze.

I już dłoń śnieżną w swej ciśnie dłoni,
W pięknych licach topi oczy,
Ustami usta różane goni
I skoczne okręgi toczy.

Wtem wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzającym krył blasku;
Poznaje strzelec dziewczynę z bliska,
Ach, to dziewczyna spod lasku!

„A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!

Nie tobie igrać przez srebrne tonie
Lub nurkiem pluskać w głąb jasną;
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.

A dusza przy tym świadomym drzewie
Niech lat doczeka tysiąca,
Wiecznie piekielne cierpiąc żarzewie
Nie ma czym zgasić gorąca”.

Słyszysz to strzelec, błędny krok niesie,
Błędnymi rzuca oczyma;
A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca,
Roztwiera paszczę otchłai podwodna,
Ginie z młodzieńcem dziewica.

Woda się dotąd burzy i pieni,
Dotąd przy świetle księżyca
Snuje się para znikomych cieni;
Jest to z młodzieńcem dziewica.

Ona po srebrnym płasza jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Kto jest młodzieniec? - strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? - ja nie wiem.

RYBKA

BALLADA

(ze śpiewu gminnego)

Od dworu, spod lasa, z wioski,
Smutna wybiega dziewica,
Rozpuściła na wiatr włoski
I łzami skropiła lica.

Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzeka;
Załamuje białe rączki
I tak żałośnie narzeka:

„O wy, co mieszkacie w wodzie,
Siostry moje Świtezianki,
Słuchajcie w ciężkiej przygodzie
Głosu zdradzonej kochanki.

Kochałam pana tak szczerze,
On mię przysięgał zaślubić,
Dziś księżnę za żonę bierze,
Krysię ubogą chce zgubić.

Niechże sobie żyją młodzi,
Niech się z nią obłudnik pieści,
Niech tylko tu nie przychodzi
Urągać się z mych boleści.

Dla opuszczonej kochanki
Cóż pozostało na świecie?
Przyjmijcie mię, Świtezianki!
Lecz moje dziecię... ach, dziecię!”

To mówiąc rzewnie zapłacze.
Rączkami oczy zasłoni
I z brzegu do wody skacze,
I w bystrej nurza się toni.

Wtem z lasu, gdzie się dwór bieli,
Tysiączne świecą kagańce,
Zjeżdżają goście weseli,
Muzyka, hałas i tańce.

Lecz mimo tego hałasu
Płacz dziecięcia słyhać w lesie,
Wierny sługa wyszedł z lasu
I dziecię na rękę niesie.

Ku wodzie obraca kroki,
Gdzie łoża, gęsto spleciona,
Wzdłuż wykręconej zatoki
Okryła rzeki ramiona.

Tam staje w ciemnym zakątku,
Placze i woła: „Niestety!
Ach, któż da piersi dzieciątku!
Ach! gdzie ty, Krysiu, ach, gdzie ty?”

„Tu jestem, w rzece u spodu” -
Cichy mu głos odpowiada -
Tutaj drzę cała od chłodu,
A żwir mnie oczki wyjada.

„Przez żwir, przez ostre kamuszki
Fale mnie gwałtowne niosą;
Pokarm mój koralki, muszki.
A zapijam zimną rosą”.

Lecz sługa, jak na początku,
Tak wszystko woła: „Niestety!
Ach, któż da piersi dzieciątku?
Ach, gdzie ty, Krysiu, ach, gdzie ty?”

Wtem się coś z lekka potrąci
Śród kryształowej przezroczy,
Woda się z lekka zamąci,
Rybka nad wodę podskoczy;

I jak skałka płaskim bokiem
Gdy z lekkich rąk chłopca pierzchnie,
Tak nasza rybka podskokiem
Mokre całuje powierzchnie.

Złotymi plamki nadobna,
Kraśne ma po bokach piórka,
Główka jak naparstek drobna,
Oczko drobne jak paciórka.

Wtem rybią łuskę odwinie,
Spójrzy dziewicy oczyma;
Z głowy jasny włos wypłynie,
Szyjka cieniuchna się wzdyma.

Na licach różana krasa,
Piersi jak jabłuszka mleczone,
Rybią ma płetwę do pasa,
Płynie pod chrusty nadrzeczne.

I dziecię bierze do ręki,
U łona białego tuli,
„Luli - woła - mój maleńki,
Luli, mój maleńki, luli”.

Gdy dziecię płakać przestało,
Zawiesza kosz na gałęzi
I znowu ściska swe ciało,
I główkę nadobną zwęzi.

Znowu ją łuski powleką,
Od boków wyskoczą skrzelki,
Plusła i tylko nad rzeką
Kipiące pękły bąbelki.

Tak co wieczora, co ranka,
Gdy sługa stanie w zakątku,
Wraz wypływa Świtezianka,
Żeby dać piersi dzieciątku.

Za cóż jednego wieczora
Nikt nie przychodzi na smugi?
Już zwykła przemija pora;
Nie widać z dziecięciem sługi.

Nie może on przyjść tą stroną,
Musi zaczekać troszeczkę,
Bo właśnie teraz pan z żoną
Poszli przechadzką nad rzeczkę.

Wrócił się, czekał z daleka,
Za gęstym usiadłszy krzakiem;
Lecz próżno czeka i czeka,
Nikt nie powracał tym szlakiem.

Wstaje i dłoń w trąbkę zwinął,
I patrzył przez palców szparę,
Ale i dzień już przeminął,
I mroki padają szare.

Czekał długo po zachodzie,
A gdy noc gwiazdy zapala,
Zbliża się z lekka ku wodzie
I śledzi oczyma z dala.

Przebóg! cudy czy moc piekła!
Uderza go widok nowy.
Gdzie pierwiej rzeczulka ciekła,
Tam suchy piasek i rowy.

Na brzegach porozrzucana
Wala się odzież bez ładu,
Ani pani, ani pana
Nie widać nigdzie ni śladu.

Tylko z zatoki połową
Sterczał wielki głazu kawał
I dziwną kształtu budową
Dwa ludzkie ciała udawał.

Zdumiewa się wierny sługa,
Rozpierzchłych myśli nie złowił;
Przeszła godzina i druga,
Nim wreszcie słówko przemówił.

„Krysiu, o Krysiu!” - zawoła:
Echo mu „Krysiu” odpowie,
Lecz próżno patrzy dokoła,
Nikt nie pokazał się w rowie.

Patrzy na rów i na głązy,
Otrze pot na licu zbladłem,
I kiwnie głową trzy razy,
Jakby chciał mówić: już zgadłem.

Dzieciątko na ręce bierze,
Śmieje się dzikim uśmiechem,
I odmawiając pacierze
Wraca do domu z pośpiechem.

POWRÓT TATY

BALLADA

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klękajcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciórek.

Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze”.

Słyszac to dziatki biegą wszystkie razem,
Za miasto, pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciórek.

Całują ziemię, potem: „W imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona, przenajświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego”.

Potem: Ojcze nasz i Zdrowaś, i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki:

I litaniją do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem
„Najświętsza Matko - przyśpiewują dziatki,
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!”

Wtem słychać tarkot, wozy jadą drogą
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą jak mogą:
„Tato, ach, tato nasz jedzie!”

Obaczył kupiec, łyzy radośne leje,
Z wozu na ziemię wylata;
„Ha, jak się macie, co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?”

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rożynki w koszyku”.
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie - kupiec na sługi zawoła -
Ja z dziećmi pójdę ku miastu”.
Idzie... aż zbójcy obkoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia pługawa;
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tułą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wznosił dłonie.

„Ach, bierzcie wozy, ach, bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dzieciak
I młodej małżonki wdową”.

Nie słucha zgraja, ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi
„Pieniędzy!” krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtem: „Stójcie, stójcie!” - krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci, i ojca,
„Idźcie, rzekł, dalej bez trwogi”.

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszy bym pałkę strzaskał na twojej głowie,
Gdyby nie dzieciak pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

Z dawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja, i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrusty,
Modlą się dziatki do Boga,
Słucham, z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

Słucham, ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;
Ach! ja mam żonę, i u mojej żony
Jest synek taki maleńki.

Kupcze! jedź w miasto, ja do lasu muszę;
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie, i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciółek”.

KURHANEK MARYLI

ROMANS

(Myśl ze śpiewu litewskiego)

**Cudzy człowiek, Dziewczyna, Jaś,
Matka, Przyjaciółka**

Cudzy człowiek

Tam u Niemnowej odnogi,
Tam u zielonej rozłogi,
Co to za piękny kurhanek?
Spodem uwieńczon, jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi;
Boki ma strojne murawą,
Głowę ukwieconą w kwiaty,
A na niej czeremchy drzewo,
A od niej idą trzy drogi:
Jedna droga na prawo,
Druga droga do chaty,
Trzecia droga na lewo.

Ja tędy płynę z wiciną,
Pytam się ciebie, dziewczyno,
Co to za piękny kurhanek?

Dziewczyna

W całej wsi pytaj się, bracie,
A cała wieś powie tobie:
Maryla żyła w tej chacie,
A teraz leży w tym grobie.
Na prawej stronie te śladki
Ubite nogą pastuszka;
To jest drożyna jej matki,
A stąd przychodzi jej družka.
Lecz oto błysnął poranek,
Przyjdą oni na kurhanek;
Ukryj się tu za stós łomu,
Sam ich posłuchasz niedoli,
Własne twe oczy zobaczą.
Patrz w prawo... idzie kochanek.
Patrz, matka idzie z domu.
Patrz w lewo, przyjaciółka.
Wszyscy idą powoli
I niosą ziółka,
I płaczą.

Jaś

Marylo! o tej porze!
Jeszcześmy się nie widzieli,
Jeszcześmy się nie ścisnęli,
Marylo! zaszło zorze!
Tu czeka twój kochanek,
Czy ty przespałaś ranek,
Czy na mnie zagniewana?
Ach, Marylo kochana!
Gdzież się ty dotąd kryjesz?
Nie, nie przespałaś ranka,
Nie gniewasz się na Janka,
Lecz nie żyjesz, nie żyjesz!
Więzi cię ten kurbanek,
Nie ujrysz już kochanka,
Nie ujrzy cię kochanek!
Dawniej, kiedy spać szedłem, tym słodziłem chwile,
Że skoro się obudzę, obaczę Maryłę.
I dawniej spałem mile!
Teraz tutaj spać będę od ludzi daleki,
Może ją we śnie ujrę, gdy zamknę powieki;
Może zamknę na wieki!
Byłem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy;
Chwalili mię sąsiedzi,
Chwalił mię ojciec siwy.
Teraz się ojciec biedzi,
A ja ni ludziom, ni Bogu!

Niech ziarno w polu przepadnie,
Niech ginie siano ze stogu,
Niech sąsiad kopy rozkradnie,
Niech trzodę wyduszą wilki!
Nie masz, nie masz Marylki!
Daje mi ojciec chaty,
Daje mi sprzęt bogaty;
Bym wziął w dół gospodynię,
Namawiali mię swaty,
Nie masz, nie masz Maryli!
Swaty nie namówili.
Nie mogę - nie - nie mogę;
Wiem, ojczy, co uczynię:
Pójdę w daleką drogę,
Więcej mię nie znajdziecie,
Choćbyście i szukali,
Nie będę już na świecie,
Przystanę do Moskali,
Żeby mię wraz zabili.
Nie masz, nie masz Maryli!

Matka

Czemuż nie wstałam z rana?
Już w polu pełno ludzi.
Nie masz cię, nie masz, kochana
Marylo! któż mię obudzi!
Płakałam przez noc całą,
Zasnęłam, kiedy dniało.
Mój Szymon gdzieś już w polu,
Wyprzedził on świtania,
Nie budził mię, mojego litując się bolu,
Poszedł z kosą bez śniadania;
Kos ty dzień cały, kos sobie,
Ja tutaj leżę na grobie.
Czegoż mam iść do domu?
Kto nas na obiad zawoła?
Kto z nami siądzie u stoła?
Nie masz, ach, nie masz komu!
Pókiśmy mieli ciebie,
W domu było jak w niebie.
Z całej wsi chłopcy, dziewczki,
Najweselsze zażynki,
Najhuczniejsze dosiewki.
Nie masz cię! w domu pustynie!
Każdy, kto idzie, minie.
Zawiasy rdzawieją w sieni,
Mchem się dziedziniec zieleni;
Bóg nas opuścił, ludzie opuścili,
Nie masz, nie masz Maryli!

Przyjaciółka

Tutaj, bywało, z ranku

Nad wodą sobie stoim,
Ja o twoim kochanku,
Ty mnie mówisz o moim.
Już więcej z sobą nie będziemy mówili.
Nie masz, nie masz Maryli!
Któż mi zwierzy się szczerze,
Komuż się ja powierzę?
Ach, gdy z tobą, kochanie,
Smutku i szczęścia nie dzielę,
Smutek smutkiem zostanie,
Weselem nie jest wesele.

Cudzy człowiek

Słyszysz to cudzy człowiek,
Wzdycha i łzy mu płyną.
Westchnął, otarł łzy z powiek
I dalej poszedł z wiciną.

DO PRZYJACIÓŁ

Posyłając im balladę „To lubię”

Kowno, d. 27 grudnia

Bije raz, dwa, trzy... już północna pora,
Głuche wokoło zacisze,
Wiatr tylko szumi po murach klasztoru
I psów szczekanie gdzieś słyszę.

Świeca w lichtarzu dopala się na dnie,
Raz w głębi tłumi ogniska,
Znowu się wzmoże i znowu opadnie,
Błyska, zagasa i błyska.

Straszno! - nie była straszną ta godzina,
Gdy były nieba łaskawsze:
Ileż mi słodkich chwilek przypomina!
Precz... to już znikło na zawsze.

Teraz ja szczęścia szukam, ot w tej księdze,
Księga znudziła, porzucam;
Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
To marzę, to się ocucam.

Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycenie,
Kochankę widzę lub braci;
Zrywam się, patrzę, aż tylko po ścienie
Biega cień własnej postaci.

Ot, lepiej pióro wezmę i wśród ciszy,
Gdy się bez ładu myśl płacze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy,
Zacznę, bo nie wiem, czy skończę.

Może też pamięć o minionej wiosnie
Zimowy wierszyk umili;
Chcę coś okropnie, coś pisać miłośnie,
O strachach i o Maryli.

Kto pragnie pędzłem swe rozślawić imię,
Niech jej maluje portrety,
Wieszcz w nieśmiertelnym niech opiewa rymie
Serca, rozumu zalety.

Mnie choć to wszystko w umyśle przytomne,
Pociechy szukam, nie sławy;
Lepiej wam powiem, jeżeli przypomnę,
Jakie z nią miałem zabawy.

Maryla słodkie miłości wyrazy
Dzieliła skąpo w rachubie;
Choć jej kto kocham mówił po sto razy,
Nie rzekła nawet i lubię.

Za to więc w Rucie pod północną chwilę,
Kiedy się wszyscy spać kładą,
Ja na dobranoc żegnając Marylę,
Taką straszylem balladą:

TO LUBIĘ

BALLADA

Spójrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje,
W prawo łóz gęsty zarostek,
W lewo się piękna dolina podaje,
Przodem rzeczulka i mostek.

Tuż stara cerkiew, w niej puszczyk i sowy,
Obok dzwonnicy zrąb zgniły,
A za dzwonnica chrośniak malinowy,
A w tym chrośniaku mogiły.

Czy tam bies siedział, czy dusza zaklęta,
Że o północnej godzinie
Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
Miejsc tych bez trwogi nie minie.

Bo skoro północ nawlecze zasłony,
Cerkiew się z trzaskiem odmyka,
W pustej zrabnicy dzwonią same dzwony,
W chrustach coś huczy i ksyka.

Czasami płomyk okaże się blady,
Czasem grom trzaska po gromie,
Same się z mogił ruszają pokłady
I larwy stają widomie.

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
To znowu głowa bez ciała;
Roztwiera gębę i wytryszcza oczy,
W gębie i w oczach żar pała,

Albo wilk bieży; pragniesz go odegnać,
Aż orlim skrzydłem wilk macha,
Dość „Zgiń, przepadnij” wyrzec i przeżegnać,
Wilk zniknie wrzeszcząc:” cha cha cha”.

Każdy podróżny oglądał te zgrozy
I każdy musiał kłać drogę;
Ten złamał dyszel, ten wywrócił wozy,
Innemu zwichnął koń nogę.

Ja, chociaż, pomnę, nieraz Andrzej stary
Zaklinał, nieraz przestrzegał,
Śmiałem się z diabłów, nie wierzyłem w czary,
Tamtędym jeździł i biegał.

Raz, gdy do Ruty jadę w czas noclegu,
Na moście z końmi wóz staje,
Próżno woźnica przynagła do biegu,
„Hej!” - krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a potem skoczą z całej mocy,
Dyszel przy samej pękł szrubie;
Zostać na polu samemu i w nocy,
„**To lubię** - rzekłem - **to lubię!**”

Ledwie dokończył, aż straszna martwica
Wypływa z bliskich wód toni;
Białe jej szaty, jak śnieg białe lica,
Ognisty wieniec na skroni.

Chciałem uciekać, padłem zalękniony,
Włos dębem stanął na głowie;
Krzyknę; „Niech będzie Chrystus pochwalony!”
„Na wieki wieków” - odpowie.

„Ktokolwiek jesteś, poczciwy człowieku,
Coś mię zachował od męki,
Dożyj ty szczęścia i późnego wieku,
I pokój tobie, i dzięki.

Widzisz przed sobą obraz grzesznej duszy,
Wkrótce się niebem pochlubię;
Boś ty czyscowej zbawił mię katuszy
Tym jednym słówkiem; **To lubię.**

Dopóki gwiazdy zejda i dopóki
We wsi kur pierwszy zapieje,
Opowiem tobie, a ty dla nauki
Opowiedz innym me dzieje.

Onego czasu żyłam ja na świecie,
Marylą zwana przed laty;
Ojciec mój, pierwszy urzędnik w powiecie,
Możny, poczciwy, bogaty.

Za życia pragnął sprawić mi wesele,
A żem dostatnia i młoda,
Zbiegło się zewsząd zalotników wiele,
Posag wabił i uroda.

Mnóstwo ich marnej pochlebiało dumie,
I to mi było do smaku,
Że kiedy w licznym kłaniano się tłumie,
Tłumem gardziłam bez braku.

Przybył i Józio; dwudziestą miał wiosnę,
Młody, cnotliwy, nieśmiały;
Obce dla niego wyrazy miłosne,
Choć czuł miłosne zapały.

„Lecz próżno nędzny w oczach prawie znika
Próżno i dzień, i noc płacze;
W boleściach jego dla mnie radość dzika,
Śmiech obudzały rozpacze.

„Ja pójdę!” mówił ze łzami. „Idź sobie!”
Poszedł i umarł z miłości;
Tu nad rzeczułką, w tym zielonym grobie
Złożone jego są kości.

„Odtąd mi życie stało się niełube,
Późne uczułam wyrzuty;
Lecz ani sposób wynagrodzić zgubę,
Ani czas został pokuty.

Raz, gdy się w północ z rodzicami bawię,
Wzmaga się hałas, szum, świsty,
Przyleciał Józio w straszliwej postawie,
Jak potępieniec ognisty.

Porwał, udusił gęszczą dymnych kłębow,
W czyscowe rzucił potoki,
Gdzie pośród jęku i zgrzytania zębów
Takie słyszałam wyroki:

„Wiedziałaś, że się spodobało Panu
Z męża ród tworzyć niewieści,
Na osłodzenie mężom złego stanu,
Na rozkosz, nie na boleści.

Ty jakbyś w piersiach miała serce z głazu,
Ani cię jęki ubodły.
Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu
Przez łzy, cierpienia i modły.

Za taką srogość, długie, długie lata
Dręcz się w czyscowej zagubie,
Póki mąż jaki z tamecznego świata
Nie powie na cię choć: **lubię**.

Prosił i Józio niegdyś o to słowo,
Gorzkie łzy lał nieszczęśliwy;
Prośże ty teraz; nie łą, nie namową,
Ale przez strachy i dziwy”.

Rzekł, mnie natychmiast porwały złe duchy.
Odtąd już setny rok minie,
W dzień męczą, a noc zdejmują łańcuchy,
Rzucam ogniste głębinie;

I w cerkwi albo na Józia mogile,
Niebu i ziemi obrzydła,
Muszę podróźnych trwożyć w nocne chwile,
Różne udając straszidła.

Idących w błota zawiodę lub w gaje,
Jadącym konia uskubię;
A każdy naklnie, nafuka, nałaje,
Tyś pierwszy wyrzekł: **to lubię**.

Za to ci spadnie wyroków zasłona,
Przyszłość spod ciemnych wskażę chmur:
Ach! i ty poznasz Marylę; lecz ona...”
Wtem na nieszczęście zapiał kur.

Skinęła tylko, widać radość z oczek,
Mieni się w parę cieniuchną,
Ginie, jak ginie bladawy obloczek,
Kiedy zefiry nań dmuchną.

Patrzę, aż cały wóz stoi na łące,
Siadam, powoli strach mija;
Proszę za dusze w czyscu bolejące
Zmówić trzy Zdrowaś Maryja.

RĘKAWICZKA

POWIASTKA

(Z Szyllera)

Chcąc być widzem dzikich bojów,
Już u zwierzyńca podwojów
Król zasiada.
Przy nim księżęta i panowie Rada,
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.

Król skinął palcem, zaczęto igrzysko,
Spadły wrzeczadze; ogromne lwisko
Zwolna się toczy,
Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
Wokoło,
I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrząsł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemie,
I obalił się na ziemię.

Król skinął znowu,
Znowu przemknie się krata,
Szybkimi skoki, chciwy połowu,
Tygrys wylata.
Spoziera z dala

I kłami błyska,
Język wywala,
Ogonem ciska
I lwa dokoła obiega.
Topiąc wzrok jaszczurczy
Wyje i burczy;
Burcząc na stronie przylega.

Król skinął znowu,
Znowu podwój otwarty,
I z jednego zachowu
Dwa wyskakują lamparty.
Łakoma boju, para zajadła
Już tygrysa opadła,
Już się tygrys z nimi drapie,
Już obudwu trzyma w łapie;
Wtem lew podniósł łeb do góry,
Zagrzmiał - i znowu cisze -
A dzicz z krwawymi pazury
Obiega... za mordem dysze.
Dysząc na stronie przylega.

Wtem leci rękawiczka z krużganków pałacu,
Z rączek nadobnej Marty,
Pada między tygrysa i między lamparty,
Na środek placu.

Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
„Kto mię tak kocha, jak po tysiąc razy
Czułymi przysiągł wyrazy,
Niechaj mi teraz rękawiczkę poda”.

Emrod przeskoczył zapory,
Idzie pomiędzy potwory,
Śmiało rękawiczkę bierze.
Dziwią się panie, dziwią się rycerze.
A on w zwycięskiej chwale
Wstępuje na krużganki.
Tam od radośnej witany kochanki,
Rycerz jej w oczy rękawiczkę rzucił,
„Pani, twych dzięków nie trzeba mi wcale”.
To rzekł i poszedł, i więcej nie wrócił.

PANI TWARDOWSKA

BALLADA

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwałą,
Cha cha, chi chi, hejza, hola!

Twardowski siadł w końcu stoła.
Podparł się w boki jak basza;
„Hulaj dusza! hulaj!” - woła,
Śmiesz, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha,
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału,
Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął, cmok, i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtem gdy wódkę pił z kielicha.
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno: Co u licha?
Po coś tu, kumie, zawitał?

Diablik to był w wódce na dnie,
Istny Niemiec, sztuczka kusa;
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznokcie.

„A! Twardowski; witam, bracie!”
To mówiąc bieży obcesem:
„Cóż to, czyliż mię nie znacie?
Jestem Mefistofešem.

Wszak ze mną na Łysej Górze
Robił o duszę zapisy;
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałeś ty, i bisy

Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy;
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci;
Ta karczma Rzym się nazywa,
Kładę arest na waszeci.”

Twardowski ku drzwióm się kwapił
Na takie dictum acerbum,
Diabeł za kuntusz ułapił:
„A gdzie jest nobile verbum?”

Co tu począć? kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głowę.
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową.

„Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdiesz brać duszę moją,

Będę miał prawo trzy razy
Zaprząć cię do roboty?
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

Patrz, oto jest karczmy godło,
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.

Skręć mi przy tym biczyk z piasku,
Żeby miał czym konia chłostać,
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.

Gmach będzie z ziarenek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cał gruby, długi trzy cale,
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie. trzy bratnale”.

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa,
Patrzy, aż i gmach już gotów.

No! wygrałeś, panie bisie;
Lecz druga rzecz nic skończona,
Trzeba skąpać się w tej misie,
A to jest woda święcona.

Diabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi,
Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potem jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie.
„Teraz jużes w naszej mocy,
Najgorętszą odbył łaźnię.”

„Jeszcze jedno, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska;
Patrzaj, oto jest kobiéta,
Moja żoneczka Twardowska.

Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie,
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą jak z mężem zostanie.

Przysięż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek.
Już cała ugoda za nic.”

Diabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki,
Niby patrzy, niby słucha,
Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd jak czmycha, tak czmycha.

LILIJE

BALLADA

(z pieśni gminnej)

Zbrodnia to niesłychana,
Pani zabija pana;
Zabiwszy grzebie w gaju,
Na łączce przy ruczaju,
Grób liliją zasiewa,
Zasiewając tak śpiewa:
„Rośnij kwiecie wysoko,
Jak pan leży głęboko;
Jak pan leży głęboko,
Tak ty rośnij wysoko.”

Potem cała skrwawiona,
Męża zbójczyni żona,
Bieży przez łąki, przez knieje,
I górą, i dołem, i górą;
Zmrok pada, wietrzyk wieje;
Ciemno, wietrzno, ponuro.
Wrona gdzieniegdzie kracze
I puchają puchacze.

Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk.

„Kto tam?” - spadła zaporą,
Wychodzi starzec, świeci;
Pani na kształt upiora
Z krzykiem do chatki leci.

„Ha! ha!” zsiniały usta,
Oczy przewraca w słupek,
Drżąca, zbladła jak chusta;
„Ha! mąż, ha! trup!”

„- Niewiasto, Pan Bóg z tobą,
Co ciebie tutaj niesie,
Wieczorną słotną dobą,
Co robisz sama w lesie?”

„- Tu za lasem, za stawem,
Błyszczą mych zamków ściany.
Mąż z królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany.
Lato za latem bieży,
Nie masz go z bojowiska;
Ja młoda wśród młodzieży,
A droga cnoty śliska!
Nie dochowałam wiary,
Ach! biada mojej głowie!
Król srogie głosi kary;
Powrócili mężowie.

„Ha! ha! mąż się nie dowie!
Oto krew! oto nóż!
Po nim już, po nim już!
Starcze, wyznałam szczerze.
Ty głoś świętymi usty,
Jakie mówić: pacierze,
Gdzie mam iść na odpusty.
Ach, pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie,
Byleby moją zbrodnię
Wieczysta noc powlekła.”

„- Niewiasto, - rzecze stary -
Więc ci nie żal rozboju,
Ale tylko strach kary?
Idźże sobie w pokoju,
Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
Wieczna twa tajemnica.
Bo takie sądy boże,
Iż co ty zrobisz skrycie,
Mąż tylko wydać może;
A mąż twój stracił życie.”

Pani z wyroku rada,
Jak wpadła, tak wypada;
Bieży nocą do domu
Nic nie mówiąc nikomu.
Stoją dzieci przed bramą,
„Mamo, - wołają - Mamo!
A gdzie został nasz tato?”
- „Nieboszczyk? co? wasz tato?” -
Nie wie, co mówić na to.
- „Został w lesie za dworem,
Powróci dziś wieczorem.”
Czekają wieczór dzieci;
Czekają drugi, trzeci,
Czekają tydzień cały;
Nareszcie zapomniały.

Pani zapomnieć trudno,
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu,
Nigdy snu na źrenicy!
Bo często w nocnej porze
Coś stuka się na dworze,
Coś chodzi po świetlicy.
„Dzieci - woła - to ja to,
To ja, dzieci, wasz tato!”

Noc przeszła, zasnąć trudno.
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu!

- „Idź, Hanko, przez dziedziniec.
Słyszę tętent na moście,
I kurzy się gościniec;
Czy nie jadą tu goście?
Idź na gościniec i w las,
Czy kto nie jedzie do nas?”

Jadą, jadą w tę stronę,
Tuman na drodze wielki,
Rzą, rzą koniki wronie,
Ostre błyszczą szabelki.
Jadą, jadą panowie,
Nieboszczyka bratowie!

- „A witajże, czy zdrowa?
Witajże nam, bratowa.
Gdzie brat?” - „Nieboszczyk brat,

Już pożegnał ten świat.”
- „Kiedy?” - „Dawno, rok minął,
Umarł... na wojnie zginął.”
- „To kłamstwo, bądź spokojna!
Już skończyła się wojna;
Brat zdrowy i ochoczy,
Ujrzysz go na twe oczy.”

Pani ze strachu zbladła,
Zemdlała i upadła,
Oczy przewraca w słupek,
Z trwogą dokoła rzuca.
- „Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?”
Powoli się ocuca;
Mdląca niby z radości
I pytała u gości:
„Gdzie mąż, gdzie me kochanie,
Kiedy przede mną stanie?”

- „Powracał razem z nami,
Lecz przodem chciał pośpieszyć,
Nas przyjął z rycerzami
I twoje łzy pocieszyć.
Dziś, jutro pewnie będzie,
Pewnie kędyś w obłędzie
Ubite minął szlaki.
Zaczekajmy dzień jaki,
Poszlemy szukać wszędzie,
Dziś, jutro pewnie będzie.”

Posłali wszędzie sługi,
Czekali dzień i drugi,
Gdy nic nie doczekali,
Z płaczem chcą jechać dalej.

Zachodzi drogę pani:
- „Bracia moi kochani,
Jesień zła do podróży,
Wiatry, słoty i deszcze.
Wszak czekaliście dłużej,
Czekajcie trochę jeszcze.”

Czekają. Przeszła zima,
Brata nie ma i nie ma.
Czekają; myślą sobie:
Może powróci z wiosną?
A on już leży w grobie,
A nad nim kwiatki rosną,
A rosną tak wysoko,
Jak on leży głęboko.

I wiosnę przeczekali,
I już nie jadą dalej.

Do smaku im gospoda,
Bo gospodyni młoda;
Że chcą jechać, udają,
A tymczasem czekają;
Czekają aż do lata,
Zapominają brata.
Do smaku im gospoda
I gospodyni młoda.
Jak dwaj u niej gościli,
Tak ją dwaj polubili.
Obu nadzieja łechce,
Obadwaj zjęci trwogą,
Żyć bez niej żaden nie chce,
Żyć z nią obaj nie mogą.
Wreszcie na jedno zdani,
Idą razem do pani.

- „Słuchaj, pani bratowo,
Przyjm dobrze nasze słowo.
My tu próżno siedzimy,
Brata nie zobaczymy.
Ty jeszcze jesteś młoda,
Młodości twojej szkoda.
Nie wiąż dla siebie świata,
Wybierz brata za brata”.

To rzekli i stanęli,
Gniew ich i zazdrość piecze,
Ten, to ów okiem strzeli,
Ten, to ów słówko rzecze;
Usta sine przycięli,
W ręku ściskają miecze.
Pani ich widzi w gniewie,
Co mówić, sama nie wie.
Prosi o chwilkę czasu,
Bieży zaraz do lasu.
Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk!
Całą mu rzecz wyklada,
Pyta się, co za rada?

- „Ach, jak pogodzić braci?
Chcą mojej ręki oba?
Ten i ten się podoba:
Lecz kto weźmie? kto straci?

Ja mam maleńkie dziatki,
I wioski, i dostatki,
Dostatek się zmitręza,
Gdy zostałam bez męża.
Lecz, ach! nie dla mnie szczęście!
Nie dla mnie już zameście!
Boża nade mną kara,
Ściga mnie nocna mara,
Zaledwie przymknę oczy,
Traf, traf, klamka odskoczy;
Budzę się, widzę, słyszę,
Jak idzie i jak dysze,
Jak dysze i jak tupa,
Ach, widzę, słyszę trupa!
Skrzyp, skrzyp, i już nad łóżem
Skrwawionym sięga nożem,
I iskry z gęby sypie,
I ciągnie mię, i szczypie.
Ach, dosyć, dosyć strachu,
Nie siedzieć mnie w tym gmachu,
Nie dla mnie świat i szczęście,
Nie dla mnie już zameście!”

„Córko, - rzecze jej stary -
Nie masz zbrodni bez kary.
Lecz jeśli szczerą skrucha,
Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
Znam ja tajnie wyroku,
Miłą ci rzecz obwieszczę;
Choć mąż zginął od roku,
Ja go wskrzeszę dziś jeszcze.”

- „Co, co? jak, jak? mój ojczy!
Nie czas już, ach, nie czas!
To żelazo zabojcze
Na wieki dzieli nas!
Ach, znam, że warta kary,
I zniosę wszelkie kary,
Byle się pozbyć mary.
Zrzekę się mego zbioru
I pójdę do klasztoru,
I pójdę w ciemny las.
Nie, nie wskrzeszaj, mój ojczy!
Nie czas już, ach, nie czas,
To żelazo zabojcze
Na wieki dzieli nas!”

Starzec westchnął głęboko
I łzami zalał oko,
Oblicze skrył w zasłonie,

Drżące załamał dłonie.
- „Idź za mąż, póki pora,
Nie lękaj się upiora.
Martwy się nie ocuci,
Twarda wieczności brama;
I mąż twój nie powróci,
Chyba zawołasz sama.”

- „Lecz jak pogodzić braci?
Kto weźmie, a kto straci?” -
„Najlepsza będzie droga
Zdać się na los i Boga.
Niechajże z ranną rosą
Pójdą i kwiecie zniosą.
Niech każdy weźmie kwiecie
I wianek tobie splecie,
I niechaj doda znaki,
Żeby poznać, czyj jaki,
I pójdzie w kościół boży,
I na ołtarzu złoży.
Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
Ten mąż twój, ten kochanek.”

Pani z przestrogi rada,
Już do małżeństwa skora,
Nie boi się upiora;
Bo w myśli swej układa
Nigdy w żadnej potrzebie
Nie wołać go do siebie.
I z tych układów rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży prosto do domu
Nic nie mówiąc nikomu.
Bieży przez łąki, przez gaje,
I bieży. i staje,
I staje, i myśli, i słucha:
Zda się, że ją ktoś goni
I że coś szepce do niej,
Wokoło ciemność głucha;

- „To ja, twój mąż, twój mąż!”
I staje, i myśli, i słucha,
Słucha, zrywa się, bieży,
Włos się na głowie jeży,
W tył obejrzyć się lęka,
Coś wciąż po krzakach stęka,
Echo powtarza wciąż:
„To ja, twój mąż, twój mąż!”

Lecz zbliża się niedziela.
Zbliża się czas wesela.
Zaledwie słońce wschodzi,
Wybiegają dwaj młodzi.
Pani, wśród dziewic grona
Do ślubu prowadzona,
Wystąpi wśród kościoła
I bierze pierwszy wianek,
Obnosi go dokoła;
„Oto w wieńcu lilije,
Ach, czyjeż to są, czyje?
Kto mój mąż, kto kochanek?”

Wybiega starszy brat,
Radość na licach płonie,
Skacze i klaszcze w dłonie:
„Tyś moja. mój to kwiat!
Między liliji kręgi
Uplotłem wstążek zwój,
To znak, to moje wstęgi!
To mój, to mój, to mój!”

- „Kłamstwo! - drugi zawoła -
Wyjdźcie tylko z kościoła,
Miejsce widzieć możecie,
Kędy rwałem to kwiecie.
Rwałem na łączce w gaju,
Na grobie przy ruczaju,
Okazę grób i zdrój,
To mój, to mój, to mój!”

Kłóć się źli młodzieńce;
Ten mówi, ten zaprzecza;
Dobyli z pochew miecza;
Wszczyna się srogi bój,
Szarpia do siebie wieńce:
„To mój, to mój, to mój!”

Wtem drzwi kościoła trzasły,
Wiatr zawiał, świece zgasły,
Wchodzi osoba w bieli.
Znany chód, znana zbroja,
Staje, wszyscy zadrżeli,
Staje, patrzy ukosem,
Podziemnym woła głosem:
„Mój wieniec i ty moja!
Kwiat na mym rwany grobie,
Mnie, księżu, stulą wiąż;
Zła żono, biada tobie!
To ja. twój mąż, twój mąż!”

Źli bracia, biada obu!
Z mego rwaliście grobu,
Zawieście krwawy bój.
To ja, twój mąż, wasz brat,
Wy moi, wieniec mój,
Dalej na tamten świat!”

Wstrzęsła się cerkwi posada,
Z zrębu wysuwa się zrąb,
Sklep trzeszczy, głąb zapada,
Cerkiew zapada w głąb.
Ziemia ją z wierzchu kryje,
Na niej rosna lilije,
A rosna tak wysoko,
Jak pan leżał głęboko.

WIERSZE Z LAT 1822 - 1824

DO M...

Wiersz napisany w roku 1823

Precz z moich oczu!... posłucham od razu,
Precz z mego serca!... i serce posłucha,
Precz z mej pamięci!... nie tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha.

Jak cień tym dłuższy, gdy padnie z daleka,
Tym szerzej koło żałobne roztoczy, -
Tak moja postać, im dalej ucieka,
Tym grubszym kirem twą pamięć pomroczy.

Na każdym miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnej komorze
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę,
Przypomnisz sobie: właśnie o tej porze
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę.

Czy grają w szachy, gdy pierwszymi ścięgi
Śmiertelna złowi króla twego matnia,
Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia.

Czy to na balu w chwilach odpoczynku
Siędziesz, nim muzyk tańce zapowiedział,
Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
Pomyślisz sobie: on tam ze mną siedział.

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujrzyś kochanków nadzieje,
Złożywszy książkę z westchnieniem głębokim,
Pomyślisz sobie: ach! to nasze dzieje...

A jeśli autor po zawilej probie
Parę miłośną na ostatek złączył,
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
Czemu nasz romans tak się nie zakończył?...

Wtem błyskawica nocna zamigoce:
Sucha w ogrodzie zaszeleszczy grusza
I puszczyk z jękiem w okno zalopoce...
Pomyślisz sobie, że to moja dusza.

Tak w każdym miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

SEN

z Lorda Byrona

Dwoiste życie nasze: sen ma świat udzielnny
Śród otchłani, nazwanych bytem i nicestwem,
Nazwanych, lecz nieznanym, - sen ma świat udzielnny,
Z rzetelną władzą rządząc nad marnym królestwem.
Mary i życie biorą, i postaci noszą,
Rozczulają i dręczą, i łechcą rozkoszą.
Troskiienne ciężarem przywalają sennym
I ujmują ciężaru naszym pracom dziennym.
One się do istoty naszej mogą wcielić,
Zabrać połowę czasu i byt nasz podzielić.
Jak posłańce wieczności - błysną i przepadną,
Jako przeszłości duchy - często przyszłość zgadną,
Jak wróżące Sybille - ciemność do ich ręki
Składa tyrańskie berło rozkoszy i męki.
One, gdy zechcą, na to przerobić nas mogą,
Czym nie byliśmy nigdy; - one rażą trwogą,
Wywołując cień z grobów. - Więc mary są cienie?
Przeszłość nie jestże cieniem? czymże jest marzenie?
Robotą duszy, - dusza może wyprowadzić
Z nicestwa światy nowe i na nich osadzić
Doskonalsze od ziemskich kształty promieniste,
Włać im duch trwalszy, niżli w ciała rzeczywiste.

Opowiem wam, co mi się dawniej przywidziało:
Może we śnie - bo kiedy sen uwięzi ciało,
Duch wolny może obiec rozległą krainę
I długie pasmo życia w jedną zwić godzinę.
Zdało mi się, że widział młodych ludzi dwoje.
Chłopca i dziewczkę; stali na wzgórku oboje,
A wzgórek był zielony, pochyłej urody,
Niby jaki przylądek; tylko zamiast wody,
Wkoło żywy krajobraz i powiewna fala
Kłosów i sianozęci, i gdzieniegdzie z dala
Porozrzucane chaty; nad nimi dym bury
Ulotne snuł kolumny. Sam wierzchołek góry
Zdobiły zasadzone drzew i kwiatów wieńce;
Nie przypadek je sadił, lecz umyślne ręce.
Chłopiec i dziewczka patrzą - ta na okolice
Piękne jak ona sama, a ten na dziewicę.
W nim rozwija się młodość, w niej piękność rozwita,
W obojgu młodość, ale młodość rozmaita. -
Jak wśród niebios jaśnieje wdzięczna twarz księżycy,
Tak wpośród lat niewieścich jaśniała dziewica.
Chłopiec był laty młodszy, lecz starsze nad lata
Serce jego; wzrok jego w całym kręgu świata
Jedynie tylko widział swej kochanki lice,
I widział ją przed sobą, w niej utkwiał źrenice
I nie mógł ich oderwać; nie było w nim ducha,
Ona była mu duchem; głosu jej drząc słucha,
Ona była mu głosem; on swych oczu nie ma,
Ona była mu okiem: bo ścigał oczyma
Jej spojrzenia, i wszystkie oglądał przedmioty
W świetle od niej odbitym; on nie ma istoty,
Nie ma życia: w nią przelał całe życie swoje,
W niej, jako w oceanie, wszystkie myśli zdroje
Pograżył; za jej słówkiem, za ręki dotknięciem
Krew w nim ścina się lodem albo wre płomieniem.
Twarz jego na przemiany goreje i bladnie,
Serce boli i bólów przyczyny nie zgadnie.
Lecz ona słodkich jego cierpień nie podziela,
Wzdycha, lecz nie do niego, - ma w nim przyjaciela?,
Ma brata, i nic więcej! - On przestawał na tem.
Że ją zwał przyjaciółką, że go zwała bratem;
Teraz nie chce przestawać. Skądże ta różnica?
Czas rozwiązał zagadkę - kochała dziewica,
I kochała innego; i właśnie w tej chwili,
Gdy oboje na górze stali i patrzyli,
Ona wzrokiem kochanka dalekiego nęci,
Żeby leciał tak bystro, jak lecą jej chęci.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widać gmach starożytny; - stoi u przedsienia
Rumak z siodłem do drogi - w gotyckiej kaplicy
U ołtarza był chłopiec - nie widać dziewicy.
Chłopiec blady, samotny, przechodził się, myślił,
Usiadł, dobywa pióro, kilka słów nakryślił
I z pochyloną głową, na rękę oparty,
Wstał znowu, wstrząsnął głową i pisane karty
Na części rozerwawszy, w drżącej ciśnie dłoni,
I z gniewem w zębach szarpie, ale łez nie roni.
Uspokoił się nieco, zapalone lica
Ostygły i zmartwiały, - wtem wyszła dziewica.
Z obojętnym uśmiechem spotyka młodziana,
Choć dostrzegła, że była od niego kochana,
Że jej cień jako całun padł na jego duszę,
I zgadła, że on dla niej ma cierpieć katusze
Długie, straszne; nie zgadła, że miał cierpieć wiecznie.
Chłopiec wziął ją za rękę; obojętnie, grzecznie
Spojrzał - i w tej mu chwili na zwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
I zagasła - i znowu czoło zaszło mrokiem,
Znowu puścił jej rękę i powolnym krokiem
Oddalił się w milczeniu, nie żegnał dziewicy.
Rozstali się z uśmiechem; on wyszedł z kaplicy,
Raz jeszcze na ojczyste gmachy okiem rzucił,
Dosiadł konia, pojechał - i więcej nie wrócił.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Chłopiec dorósł młodzieńca - w obce pokolenia,
W dalekie zbłądził kraje i pod wschodnim słońcem
Poił duszę płomieniem, - on wiecznym był gońcem
Na lądzie i na morzu. Dokoła postaci
Podobne jemu krążą, przyjaciół czy braci?

Tu mnóstwo scen okropnych snuło się od razu,
I ów chłopiec był częścią każdego obrazu.
Ujrzałem go na koniec. Dziwacznie przebrany,
Gdzieś daleko, w obozie wschodniej karawany.
Śród połamanych kolumn, na gruzie pomników,
Co przeżyły imiona swoich budowników,
Leżał; a przy nim wielbłąd żuł resztę obroku,
Kilka arabskich koni pasło się u stoku.
Podróźni, których znużył upał całodzienny,
Drzemali w cieniu ruin, - on jeden bezsenny,
Na rękę wsparty, oczy na północ obrócił,
Z twarzą natchnienia pełną - rozmyślał czy nucił?
Niebo czyste tak wszystkie chmury zdjęło z siebie,
Że ledwie co nie widać Pana Boga w niebie. -

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Dziewica z oblubieńcem pierścionki zamienia.
On ją pojął, mnogimi osypał dostatki.
Widzę ją w cudzym domu, słyszę imię matki;
Otaczają małżonkę wesołe plemiona,
Nadobne syny, córki, - ale za cóż ona
Jakaś tęsknoty chmurą wdzięczną postać mroczy,
Zdradzając tajną boleść, co jej serce toczy?
Żrenice niegdyś jasne zamglila powłoka,
Niby jakaś łza dawna, przystygła do oka;
Skądże to? - Wszak z kochankiem złączona na wieki,
Wszakże ten, co ją kochał, jest od niej daleki,
Nie będzie myśli czystych złym życzeniem brudzić,
Nie będzie jej westchnieniem nieumyślnym nudzić.
Czegoż smutna? wszak darmo wzajemności żądał,
Darmo w jej oczach zimnych nadziei wyglądał.
Wzgardzony, nie jest pewnie sprawcą jej katuszy,
Jest widmem dla pamięci, nie sępem dla duszy.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Młodzieniec znowu szuka domowego cienia.
Widzę go przed ołtarzem, z nim oblubienica
Młoda, wdzięcznej postawy, nadobnego lica:
Lecz nie była to owa najpierwsza kochanka,
Owa gwiazda błogiego młodych lat poranka.
Musiał o niej zapomnieć, - stoi zadumany,
Rozpatruje kościelne sklepienia i ściany -
Zadrżał i w tej mu chwili na zwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
I zagasła - i znowu czoło zaszło mrokiem.
Pogląda na swą żonę, ale błędnym wzrokiem;
Powtarza jej przysięgi, których nie rozumie:
Z kim jest, gdzie jest, zapomniał w sprzecznych myśli tłumie.
Widzi tylko swą młodość, stary gmach, kaplicę,
I listek poszarpany, i swoją dziewicę.
Te przypomnienia kirem śmiertelnej zasłony
Oddzieliły na wieki młodzieńca od żony; -
Po cóż w takiej godzinie takie przypomnienia?

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widzę dawną dziewicę. Jakie w niej odmiany!
Ona w suchotach duszy; - jej rozum znękany
Opuścił ster myślenia, wzrok jej dziko lata,
Blask, co świeci w jej oku, nie jest z tego świata;
Ona jest jak królowa nad państwami marzeń;
Jej myśl stała się węzłem sprzecznych wyobrażeń;

Kształty, niedotykalne zmysłem śmiertelnika
I niewidzialne, ona dostrzega, dotyka
I w poufalej wzywa do siebie rozmowie:
Taką chorobę wiek nasz obłąkaniem zowie.
Lecz nieraz mędrzec głębiej w obłąkanie wpada,
Jeśli melancholiji smutny dar posiada;
Bo wzrok melancholijny jak teleskop sięga,
Dalekie widma zbliża, rozłączone sprzęga,
I urok życia chłodną rozdarłszy uwagą,
Rozkrywa rzeczywistość wystygłą i naga. -

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Młodzieniec był pielgrzymem, jak widać z odzienia.
Kształty przy nim krążące znikły z senną marą
Lub wojnę z nim toczyły; - on stał się ofiarą
Nienawiści swych wrogów; zewsząd zguby bliski,
Postrzega sidła zdrady lub zemsty pociski.
Stoły jego zgryzota jak harpija płami,
On, jak dawny Mitrydat, karmił się jadami;
A trucizna nie była szkodliwą dla niego
I służyła mu na kształt chleba powszedniego.
Co innym śmiercią było, tym życie przewlekał;
Zbrzydził społeczność ludzką, w pustynie uciekał,
Żył w przyjaźni z górami, myślą do gwiazd lata,
Wdał się w rozmowę z wielkim jenijuszem świata.
Wzbogacnemu nauk czarodziejskich zbiorem
Tajemna księga nocy stanęła otworem.
Jego klątwą wyzwane z głębokości ziemi
Duchy go otoczyły - i został się z niemi.

Nie ma więcej zmian w scenach mojego widzenia.

Zbudziłem się. - Jak dziwne wyroków zrządzenia!
Mój sen dla dwojga ludzi smutny koniec znaczy,
Jednemu w obłąkaniu, obójgu w rozpacz. -

WIERSZE SZTAMBUCHOWE

[NIEZNAJOMEJ, DALEKIEJ - NIEZNANY, DALEKI]
[W IMIENNIKU LUDWIKI MACKIEWICZÓWNEJ]

Nieznajomej, dalekiej - nieznany, daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej wyrok chce rozegnać,
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy; „Witam cię!”, „Bądź zdrowa na wieki!”
Tak przechodzeń zbłąkany w alpejskim parowie,
Pieśnią chce nudnej drodze przyczynić wesela;
A kiedy nie ma komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela;

Lecz nim piosnkę przypędzą echo ku jej stronie,
Może już podróznego wieczny śnieg pochłonie.

Dla Ludwiki przyszłej Chodźkowej

pisalem w godzinę po otrzymanym

rozkazie oddalenia się z Polski.

R. 1824. D. 22 Oktobra

POEZJE OKRESU ROSYJSKIEGO

POPAS W UPICIE

(Zdarzenie prawdziwe)

Upita, niegdyś miasto, powiatu stolica,
Dzisiaj miasteczko liche; jedna w nim kaplica
I kilkanaście chatek żydowskiej siedziby.
Gdzie były ludne rynki, dziś tam rosną grzyby;
Wzgórek, obronny wałem i zwodzonym mostem,
Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem.
Mury w gruzach, na miejscu zamkowego gmachu
Sterczy nędzna karczemka bez okien i dachu.

Tam, na popasie, z nudy rozważać począłem
Miny i mowy ludzi siedzących za stołem.
Trzech było. Pierwszy starzec z posrebrzanym włosom,
Na łbie konfederatka rzucona ukosem,
Wąs augustowski, żupan, dzisiaj popielaty,
Trudno odgadnąć jaką miał barwę przed laty;
U pasa karabela. Obok siedział młody,
We fraku z samodziału, krojem nowej mody,
Fryzował sobie czubek, kołnierzyk, a czasem
Bawił się z pływającym u buta kutasem,
Lub żartował z sąsiada, którego płaszcz długi
I krzyż czerwony - znakiem kościelnego sługi.
Czwarty był Żydek. Temu człowiek od pałasza
Tak mówił: „Hejno! dobra nasza bez mariasza!
Po co trupami w szabas arendarzów trwożyć?
Słuchajcie, kumy, gotów z wami się założyć,
Że jak tylko Siciński na cmentarz odjedzie,
Dostaniem garniec miodu. Nieprawdaż, sąsiedzie?”
Arendarz kiwnął brodą. Słuchałem ciekawcy:

Siciński? i w Upicie? Imię strasznej sławy!
„O jakim trupie - rzekłem - toczycie rozmowy
I o jakim Sicińskim?” Na to kontuszowy:
„O Sicińskim? z początku całą rzecz wywiode.
Na miejscu, gdzie żydowską widzimy gospodę,
Był zamek nieboszczyka; przy tym imion wiele,
Konneksyje potężne, mnogie kljentele,
A stąd éma popleczników i kresek bez liku:
Siciński był dictator na każdym sejmiku!
Starszych i zasłużeńszych patricios zhasał;
Ale nie dosyć na tym: na wyższe się kasał.
Poczęła też kłuć w oczy zbyt rogata duma;
Przyszedł sejmik poselski: nauczono kuma;
Bo gdy pewny wyboru posłem się ogłasza,
Kiedy dziękuje szlachcie, na obiady sprasza
I gdy się na Mazowsze wybiera do drogi:
Liczą turnum, Siciński padł na cztery nogi!
Agitatus furiis et impotens irae,
Umyślił zgubić szlachtę: o scelus! o dirae!
Daje obiad; zwiedziona zbiera się drużyna,
Gnie się stół pod misami, cieką strugi wina,
Łyka plebs; wtem blekotem zaprawione męty
Durzą głowę: z wesela niechęci i wstręty.
Dalej kłótnia, hałasy, istna wieża Babel.
Od zębów szło do kijów, od kijów do szabel;
Nie patrząc oka, boku, mordując jak wściekli,
Tros Rutulusve fuat, wszyscy się wysiekli.
Lecz truciznik niedługo wygraną się chwalił,
Bo go piorun z rodzeństwem i mieszkaniem spalił.
Jak ów Ajaks scopulo infixus acuto,
Expirans flammas: straszna, lecz słuszna pokuto!”
„Amen!” - rzekł dziad kościelny. Ekonom we fraku
Porównywał tę powieść do zboża w przetaku
I chcąc z bajecznej plewy prawdę wywiać naga,
Harfował żarcikami, zakończył uwagą:
Że Pan Marszałek, z którym on do stołu siada
I u którego książek niezmierna gromada,
Ilekroć o Sicińskim wspomni, zawżdy mówi:
On zgubił nas, on ręce zawiązał Królowi.
Z tych słów Marszałka głowa ekonomiczna wniosła,
Że nie szło tam o sejmik ani wybór posła,
Że musiała być wojna - przeciw komu? kiedy?
Trudno zgadnąć, zapewne z Turki albo Szwedzy;
Pewno Siciński króla do Upity zwabił,
Oddał w ręce najeźdźcom i ojczyznę zabił.

Chciał dalej rzecz prowadzić, lecz sługa kościoła
Zezem nań spojierając: „Niedobrze - zawoła -
Jeśli księdza plebana chcą uczyć dzwonniki,
Jeżeli przed siwymi biorą głos młodziki.

Ja wam opowiem jako najlepiej świadomy:
Nie sejmik ani wojna ściąga niebios gromy,
Lecz bezbożność. Siciński, wyrzekłszy się wiary,
Zabrał, jak mówią, grunta należne do fary,
Nie chciał płacić dziesięcin, nie bywał w kościele,
Pędził chłopów do pracy w święta i niedziele;
Chociaż mu nieraz biskup listami zagrażał,
Choć go wyklął z ambony - Siciński nie zważał.
W święto Bożego Ciała, pod samo południe,
Gdy msza była w kaplicy, kazał kopać studnię.
Dokopał się swej zguby i powszechnej szkody:
Bo z owej studni tyle wybuchnęło wody,
Że pola, kędy niegdyś bujały pszenice,
Zarosły w paproć, łąki poszły w trzęsawice.
Sicińskiego, jak słusznie Pan Sędzia namienił,
Piorun zabił, dom spalił, potomstwo wyplenił.
Trup, klątwą uderzony, dotąd cały stoi:
Ziemia go przyjąć nie chce, robactwo się boi;
Nie znalazłszy na ziemi święconej spoczynku,
Strasząc ludzi, rzec można, wala się po rynku,
Bo go nieraz dziad jaki, uniósłszy z cmentarza,
Wlecze w szabas do karczmy straszyć arendarza”.
Skończył i drzwi stodoły odemknął. Tam stało
Szkaradne, starożytne nieboszczyka ciało.
Nogi długie i czarne sterczą mu jak szczudła,
Ręce na krzyż złamane, twarz głęboko wchudła.
Oblicze wywędzone brud śmiertelny szpeci;
Usta wyspute, przez nie ząb gdzieniegdzie świeci.
Zresztą nietknięta ciała zdrowego budowa,
Postać ludzką, od żywej niezbyt różną, chowa.
Twarz nawet właściwego nie traci wyrazu;
A jako na powierzchni starego obrazu,
Jeżeli mogły rysy pierwiastkowe zostać,
W tych resztach jeszcze dawna przebija się postać:
Tak owa twarz choć ogniem żywotnym nie płonie,
Lecz kto ją znał za życia, poznałby po zgonie.
Za pierwszym rzutem oka coś takiego widać,
Czego żadnymi słowy nie podobna wydać.
Dzikość, szpecąca żywych oblicze zbrodniarzy,
Zda się dotąd zamarła grozić z jego twarzy;
Dotąd zdradziecka radość w ustach się uśmiecha,
Gniew rozbójniczy w czole, nade brwiami pycha.
Barki na dół pochylił, głową na pierś zwisnął,
Zda się, że ciężar hańby do ziemi go cisnął
Albo że ręka gwałtu z piekieł go wywlekła,
I znowu rad by gwałtem powracać do piekła.

Jeżeli jama, w której łotrowie mieszkali,
Chociaż ją ludzie skruszą lub piorun rozwali,
Dzikością swych położeń i krwawym ogromem
W gruzach daje odgadnąć, czyim była domem;
Gdy węża po zrzuconej rozpoznasz skorupie:
Poznalbym Sycylijskiego żywota po tym trupie.

„O towarzysze! - rzekłem - po coście niezgodni?
On był nie jednej winien, ale wszystkich zbrodni;
Jego trucizną naród zdurzony oszalał,
On królom ręce związał, kraj klęskami zalał!” -

A pomyślałem w duszy: - cóż są gminne dzieje?
Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje;
Hieroglif mchem zarosłe zdobiący kamienie;
Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
Odgłos sławy, wiejący przez lat oceany,
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
Godzien śmiechu uczonych: lecz nim się zaśmieje,
Niechaj powie uczony, czym są wszystkie dzieje?
r. 1825. Odessa

PCHŁA I RABIN

Pewny rabin w Talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiąc, że go pchła gryzła; w końcu się obruszy:
Dalej czatować, złowił. Siedzi przyciśnięta,
Kręci się, wyciągając główkę i nożeta:
„Daruj, Rabi, mądryemu nie godzi się gniewać:
Potomkowi Lewitów możnaż krew przelewać?”
„Krew za krew! - wrzasnął Rabin - Belijala płodzie!
Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!
Mrówki snują szpichlerze; pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje:
Ty się jedna śród ludzi z liwarem uwijasz,
Pijaczkę tym szkodliwsza, iż cudze wypijasz”.
Zakończył, i gdy więźnia bez litości dłabi,
Pchła konając pisnęła: „A czym żyje rabi?”

PRZYJACIELE

Nie masz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;
Ostatni znam jej przykład w oszmiańskim powiecie.
Tam żył Mieszek, kum Leszka, i kum Mieszka Leszek.
Z tych, co to: gdzie ty, tam ja, - co moje, to twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje;
Słowem, tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono niewiele.
Rzekłbyś; dwójduch w jednym ciele.

O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zozul i krakań gawronich,
Alić ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb; nuż po pniu skakać jak dzieciółek.
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: „Kumie!”
Kum już wylazł na wierzchołek.

Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zbladnąć, paść na twarz: a już niedźwiedź kroczy.
Trafia na ciało, maca: jak trup leży;
Wącha: a z tego zapachu,
Który mógł być skutkiem strachu.
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nieświeży.
Więc mruknąwszy ze wzgardą odwraca się w knieję,
Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.

Dopieroż Mieszek odżył... „Było z tobą krucho! -
Woła kum, - szczęście, Mieszku, że cię nie zadrapał!
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał.
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?”
„Powiedział mi - rzekł Mieszek - przysłowie niedźwiedzie:
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie”.

ZAJĄC I ŻABA

(Z Lafontaine'a)

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,
Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,
Teraz podupadł na nogach.
Poczuł, że się źle z nim skończy.
Więc jęknął z głębi serca: „Ach, nie masz pod słońcem
Lichszego powołania jak zostać zającem!
Co mię w dzień pies, lis, kruk, kania i wrona,
Nawet i ona,
Jak chce, tak gania.
A w noc gdy drzemię, oko się nie zmruża,
Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęczne,
Wnet drży me serce zajęcze,
Tchórząc tchórzliwiej od tchórza.
Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem,
Postanowiłem dziś je skończyć samobojem.
Żegnaj więc, miedzo, lat mych wiośnianych kolebko!
Wy kochanki młodości, kapusto i rzepko,
Pożegnalnymi łzami dozwólcie się skropić!
Oznajmuję wszem wobec, że idę się topić!”
Tak z płaczem gdy do stawu zwraca skoki słabe,
Po drodze stąpił na żabę.
Ta mu, jak raca, drgnąwszy spod nóg szusła
I z góry na łeb w staw plusła.
A zając rzekł do siebie: „Niech nikt nie narzeka,
Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórze stoi;
Każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka,
I swojego zająca, którego się boi”.

r. 1829

NIEPEWNOŚĆ

Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę,
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;
Jednakże gdy cię długo nie oglądam,
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam;
I tęskniąc sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Gdy z oczu znikniesz, nie mogę ni razu
W myśli twojego odnowić obrazu?
Jednakże nieraz czuję mimo chęci,
Że on jest zawsze blisko mej pamięci.
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Cierpiałem nieraz, nie myślałem wcale,
Abym przed tobą szedł wylewać żale;
Idąc bez celu, nie pilnując drogi,
Sam nie pojmuję, jak w twe zajdę progi;
I wchodząc sobie zadaję pytanie;
Co tu mię wiodło? przyjaźń czy kochanie?

Dla twego zdrowia życia bym nie skąpił,
Po twą spokojność do piekieł bym zstąpił;
Choć śmiałej żądy nie ma w sercu mojem,
Bym był dla ciebie zdrowiem i pokojem.
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Kiedy położysz rękę na me dłonie,
Luba mię jakaś spokojność owionie,
Zda się, że lekkim snem zakończę życie;
Lecz mnie przebudza żywsze serca bicie,
Które mi głośno zadaje pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czyli też kochanie?

Kiedym dla ciebie tę piosenkę składał,
Wieszczy duch mymi ustami nie władał;
Pełen zdziwienia, sam się nie postrzegłem,
Skąd wziąłem myśli, jak na rymy wbiegłem;
I zapisałem na końcu pytanie:
Co mię natchnęło? przyjaźń czy kochanie?

SONETY [1826]

DO LAURY

Ledwie cię zobaczyłem, jużem się zapłoniał,
W nieznanym oku dawnej znajomości pytałem;
I z twych jagód wzajemny rumieniec wykwiłałem,
Jak z róży, której piersi zaranek odsłoniłem.

Ledwieś piosnkę zaczęła, jużem łzy uroniłem,
Twój głos wnikał do serca i za duszę chwycił;
Zdało się, że ją anioł po imieniu witał
I w zegar niebios chwilę zbawienia zadzwonił.

O luba! niech twe oczy przyznać się nie boją,
Jeśli cię mym spojrzeniem, jeśli głosem wzruszę;
Nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją,

Że uciekać i kochać bez nadziei muszę.
Niech ślub ziemski innego darzy ręką twoją,
Tylko wyznaj, że Bóg mi poślubił twą duszę.

DO NIEMNA

Niemnie, domowa rzeko moja! gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potem w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?

Tu Laura, patrząc z chlubą na cień swej urody,
Lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie,
Tu obraz jej malowny w srebrnej fali łonie
Łzami nieraz mąciłem, zapaleniec młody.

Niemnie, domowa rzeko, gdzie są tamte źródła.
A z nimi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kiedy jest miłe latek dziecińczych wesele?

Gdzie miłsze burzliwego wieku niepokoje?
Kiedy jest Laura moja? gdzie są przyjaciele?...
Wszystko przeszło, a czemuż nie przejdą łzy moje!

DZIEŃDOBRY

Dzieńdobry! nie śmiem budzić, o wdzięczny widoku!
Jej duch na poły w rajskie wzleciał okolice,
Na poły został, boskie ożywiając lice,
Jak słońce na pół w niebie, pół w srebrnym obłoku.

Dzieńdobry! już westchnęła, błysnął promyk w oku,
Dzieńdobry! już obraża światłość twe źrenice,
Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice,
Dzieńdobry! słońce w oknach, ja przy twoim boku.

Niosłem słodszy dzień dobry, lecz twe senne wdzięki
Odebrały mi śmiałość; niech się wprzód dowiem;
Z łaskawym wstajesz sercem? z orzeźwionym zdrowiem?

Dzieńdobry! nie pozwalasz ucałować ręki?
Każesz odejść, odchodzę: oto masz sukienki,
Ubierz się i wyjdź prędko - dzieńdobry ci powiem.

DOBRANOC

Dobranoc! już dziś więcej nie będziem bawili,
Niech snu anioł modrymi skrzydły cię otoczy,
Dobranoc, niech odpoczną po łzach twoje oczy,
Dobranoc, niech się serce pokojem zasili.

Dobranoc, z każdej ze mną przemówionej chwili
Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy,
Niechaj gra w twoim uchu; a gdy myśl zamroczy,
Niech się mój obraz sennym źrenicom przymili.

Dobranoc, obróć jeszcze raz na mnie oczęta,
Pozwól lica. - Dobranoc - chcesz na sługi klasnąć?
Daj mi pierś ucałować. - Dobranoc, zapięta.

- Dobranoc, już uciekłaś i drzwi chcesz zatrzasnąć.
Dobranoc ci przez klamkę - niestety! zamknięta!
Powtarzając: dobranoc, nie dałbym ci zasnąć.

DOBRYWIECZÓR

Dobrywieczór! on dla mnie najśłodszym życzeniem;
Nigdy, czy to przed nocą dzieli nas zaporą,
Czyli mię ranna znowu przywołuje pora,
Nie żegnam się ni witam z takim zachwyceniem,

Jak w tę chwilę, wieczornym ośmielony cieniem;
Ty nawet, milczeć rada i płonąć się skora,
Gdy usłyszysz życzenie dobrego wieczora,
Żywszym okiem, głośniejszym rozmawiasz westchnieniem.

Niechaj dzieńdobry wschodzi tym, co społem żyją,
Objasniać pracę, która ich ręce jednoczy;
Dobranoc niech szczęśliwych kochanków otoczy,

Gdy z rozkoszy kielicha trosk osłodę piją;
A tym, co się kochają i swą miłość: kryją,
Dobrywieczór niech przyćmi zbyt wymowne oczy.

EKSKUZA

Nuciłem o miłostkach w rówienników tłumie;
Jedni mię pochwalili, a drudzy szeptali:
„Ten wieszcz kocha się tylko, męczy się i żali,
Nic innego nie czuje lub śpiewać nie umie.

W dojrzałe wchodząc lata, przy starszym rozumie,
Czemu serce płomykiem tak dziecinny pali?
Czyliż mu na to wieszczy głos bogowie dali,
Aby o sobie tylko w każdej nucił dumie?”

Wielkomyślna przestroga! - wnet z górnymi duchy
Alcejski chwytam bardon, i strojem Ursyna
Ledwie zaczął przegrywać, aż cała drużyna

Rozpierzchła się, unosząc zadziwione słuchy;
Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy.
Taki wieszcz jaki słuchacz.

SONETY KRYMSKIE

STEPY AKERMAŃSKIE

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu,
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi;
Tam z dala błyszczą obłok - tam jutrenka wschodzi;
To błyszczą Dniestr, to weszła lampa Akermanu.

Stójmy! - jak cicho! - słyszę ciągnące żurawie,
Których by nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską pierśią dotyka się ziola.
W takiej ciszy - tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. - Jedźmy, nikt nie woła.

CISZA MORSKA

Na wysokości Tarkankut.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,
Cichymi gra piersiami rozjaśniona woda;
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, na kształt chorągwi gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długimi wywija ramiony.

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiętek,
Co śpi wpośród złych losów i namiętnej burzy;
A gdy serce spokojne, zatapia w nim szpony.

ŻEGLUGA

Szum większy, gęściej morskie snują się straszdyła,
Majtek wbiegł na drabinę: gotujcie się, dzieci!
Wbiegł, rozciągnął się, zawisł w niewidzialnej sieci,
Jak pająk czatujący na skinienie sidła.

Wiatr! - wiatr! - dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła,
Przewala się, nurkuje w pianistej zamieci,
Wznosi kark, zdeptał fale i skrós niebios leci,
Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

I mój duch masztu lotem buja śród odmętu,
Wzdyma się wyobraźnia jak warkocz tych żagli,
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem;

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu,
Zdaje się, że pierś moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiem, co to być ptakiem.

BURZA

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,

Słońce krwawo zachodzi, z nim reszta nadziei.

Wicher z tryumfem zawył. a na mokre góry
Wznoszące się piętrami z morskiego odmetu
Wstąpił genijusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół żegnając się pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnąć.

Jeden podróżny śledził w milczeniu na stronie
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

WIDOK GÓR ZE STEPÓW KOZŁOWA

Pielgrzym i mirza

Pielgrzym

Tam? czy Allach postawił ścianą morze lodu?
Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?
Czy Diwy z ćwierci ładu dźwignęły te mury,
Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze wschodu?

Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu!
Czy Allach, gdy noc chylat rozciągnęła bury,
Dla światów żeglujących po morzu natury
Tę latarnię zawiesił wśród niebios obwodu?

Mirza

Tam? - Byłem; zima siedzi, tam dzioby potoków
I gardła rzek widziałem pijące z jej gniazda;
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków,

Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda,
Minałem grom drzemiący w kolebce z obłoków,
Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda.
To Czatyrdah!

Pielgrzym

Aa!!

BAKCZYSARAJ

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina.
Zmiotane czołem baszów ganki i przedsienia,
Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje sarańcza, obwija gadzina.

Skrós okien różnofarbnych powoju roślinia,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia
I pisze Balsazara głoskami „RUINA”.

W środku sali wycięte z marmuru naczynie;
To fontanna haremu, dotąd stoi cało
I perłowe łzy sącząc woła przez pustynie:

„Gdzież jesteś. o miłości, potęgo i chwało!
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie,
O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało”.

BAKCZYSARAJ W NOCY

Rozchodzą się z dżamidów pobożni mieszkańce,
Odgłos izanu w cichym gubi się wieczorze,
Zawstydziło się licem rubinowym zorze,
Srebrny król nocy dąży spocząć przy kochance.

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce,
Śród nich po safirowym żegluję przestworze
Jeden obłok, jak senny łabędź na jeziorze:
Pierś ma białą, a złotem malowane krańce.

Tu cień pada z menaru i wierzchu cyprysa,
Dalej czernią się kołem olbrzymy granitu,
Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa

Pod namiotem ciemności; niekiedy z ich szczytu
Budzi się błyskawica i pędem farysa
Przelatuje milczące pustynie błękitu.

GRÓB POTOCKIEJ

W kraju wiosny, pomiędzy rozkosznymi sady,
Uwiedłaś, młoda różo! bo przeszłości chwile,
Ulatując od ciebie jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam na północ ku Polsce świecą gwiazd gromady,
Dlaczegoż na tej drodze błyszczą się ich tyle?
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam wiecznie lecąc jasne powypalał ślady?

Polko, i ja dni skończę w samotnej żałobie;
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci.
Podróżni często przy twym rozmawiają grobie,

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnej ocuci:
I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,
Ujrzy bliską mogiłę, i dla mnie zanuci.

MOGIŁY HAREMU

Mirza do Pielgrzyma

Tu z winnicy miłości niedojrzałe grona
Wzięto na stół Allacha; tu perełki Wschodu,
Z morza uciech i szczęścia, porwała za młodu
Truna, koncha wieczności, do mrocznego łona.

Skryła je niepamięci i czasu zasłona;
Nad nimi turban zimny błyszczą wśród ogrodu,
Jak buńczuk wojska cieniów, i ledwie u spodu
Zostały dłonią giaura wyryte imiona.

O wy, róże edeńskie! u czystości stoku
Odkwitnęły dni wasze pod wstydu liśćmi,
Na wieki zatajone niewiernemu oku.

Teraz grób wasz spójrzanie cudzoziemca plami,
Pozwalam mu, - darujesz, o wielki Proroku!
On jeden z cudzoziemców poglądał ze łzami.

BAJDARY

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów;
Lasy, doliny, głązy, w kolei, w natłoku
U nóg mych płyną, giną, jak fale potoku;
Chcę odurzyć się, upić tym wirem obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem mroku,
Jak w rozbitym zwierciadle, tak w mym spiekłym oku
Snują się mary lasów i dolin, i głązów.

Ziemia śpi, mnie snu nie ma; skaczą w morskie łona,
Czarny, wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży,
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona,

Pęka nad głową fala, chaos mię okraży;
Czekam, aż myśl, jak łódka wirami kręcona,
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pograży.

CZATYRDAH

Mirza

Drząc muślemin całuje stopy twej opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdachu!
O minarecie świata! o gór Padyszachu!
Ty, nad skały poziomu uciekłeś w obłoki,

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabryjel, pilnujący edeńskiego gmachu;
Ciemny las twoim płaszczem, a jańczary strachu
Twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.

Nam czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy sarańcza plon zetnie, czy giaur pali domy -
Czatyrdahu, ty zawsze głuchy, nieruchomy,

Między światem i niebem jak drogman stworzenia,
Podesławszy pod nogi ziemię, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia.

PIELGRZYM

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice;
Dlaczegoż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie, i - niestety! jeszcze dalsze czasy?

Litwo! piały mi wdzięczniej tve szumiące lasy
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice,
I weselszy deptałem twoje trzęsawice
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki! tak różna wabi mię ponęta;
Dlaczegoż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubej dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jej wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depczęc świeże me ślady czyż o mnie pamięta?

DROGA NAD PRZEPAŚCIA W CZUFUT-KALE MIRZA I PIELGRZYM

Mirza

Zmów pacierz, opuść wodze, odwróć na bok lica,
Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza;
Dzielny koń! patrz, jak staje, głąb okiem rozmierza,
Ukłęka, brzeg wiszaru kopytem pochwyca,

I zawisnął - Tam nie patrz, tam spadła źrenica,
Jak w studni Al-Kairu, o dno nie uderza.
I ręką tam nie wskazuj - nie masz u rąk pierza;
I myśli tam nie puszczaj, bo myśl jak kotwica,

Z łodzi drobnej ciśniona w nieźmierność głębiny,
Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci,
I łódź z sobą przechyli w otchłanie chaosu.

Pielgrzym

Mirzo, a ja spojrziałem! Przez świata szczeliny
Tam widziałem - com widział, opowiem - po śmierci,
Bo w żyjących języku nie ma na to głosu.

RUINY ZAMKU W BAŁAKŁAWIE

Te zamki, połamane w zwaliska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymie!
Dzisiaj sterczą na górach jak czaszki olbrzymie,
W nich gad mieszka lub człowiek podlejszy od gadu.

Szczeblujmy na wieżyce, szukam herbów śladu;
Jest i napis, tu może bohatera imię,
Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drzymie,
Obwinione jak robak liściem winogrodu.

Tu Grek dłutował w murach ateńskie ozdoby,
Stąd Italczyk Mongołom narzucał żelaza
I mekkański przybylec nucił pieśń namaza.

Dziś sępy czarnym skrzydłem oblatują groby,
Jak w mieście, które całkiem wybije zaraza,
Wiecznie z baszt powiewają chorągwie żałoby.

AJUDAH

Lubię poglądać wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbijają na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi,
Zdobędą ład w tryumfie i, na powrót zbiegi,
Miecią za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody;
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

INNE UTWORY Z OKRESU KRYMSKIEGO

SONET

Poezyjo! gdzie cudny pędzel twojej ręki?
Gdy chcę malować, za coż myśli i natchnienia
Wyglądają z wyrazów, jak zza krat więzienia,
Kryjących i szpecących tak ubogie wdzięki?

Poezyjo! gdzie twoje melodyjne dźwięki?
Śpiewam - ona mojego nie usłyszy pienia,
Jako słowik, król śpiewu, nie słyszy strumienia,
Który w podziemnej głębi rozwodzi swe jęki.

Nie tylko dźwięk i kolor, aniołowie myśli,
Lecz i pióro, roboczy niewolnik poety,
Na cudzej ziemi nie zna praw dawnego pana

I zamiast pieśni, znaki niepojęte kryśli:
Muzyczne znaki pieśni... lecz ta pieśń. niestety.
[Nigdy jej miłym głosem nie będzie śpiewana.]

UGOLINO

Wyjątek z „Boskiej Komedii”

Dante z Wergiliuszem zstępują do piekła. Przeszedłszy jego różne oddziały i przypatrzywszy się różnym karom, spotykają Ugolina; ten zapytany od Dantego opowiada mu, jak był z dziećmi głodem zamorzony.

Z PIEŚNI III

*Przeze mnie droga w miasto utrapienia;
Przeze mnie droga w wiekuiste męki;
Przeze mnie droga w naród zatracenia;
Jam dzieło wielkiej, sprawiedliwej ręki.*

*Wzniósła mię z gruntu potęga wszechwłodna,
Mądrość najwyższa, miłość pierworodna:
Kto wchodzi do mnie, żegna się z nadzieją.*

Te słowa ryte na bramie czernieją,
Ich treść, o! Mistrzu, jest dla mnie tajemną,
On głosem zwykłym świadomej osobie:
„Tu - rzecze - z marnych wyzuj się przestachów,
Wszystko, co podłe, niechaj zamrze w tobie;
Spuścić się mamy do wieczności gmachów
I napotkamy tłumy niezliczone,
Wiekuistego światła pozbawione”.

Rzekł, przyjacielską rękę mi podaje,
Dobrotliwymi zachęca uśmiechy.
Uczulem w sercu wzruszenie pociechy
I wszedłem śmiało w tajemnicze kraje.
Stamtąd wzdychania, żale i okrzyki
Szumią wśród nocy bez gwiazd i księżycy:
Słucham, i łzami nabiegła źrenica.
Okropny hałas, tysiączne języki,
Wybuchy gniewu, szlochania boleści,
I wycie mężów, i lament niewieści!
Zgiełk przeraźliwy tak rozlicznych wrzasków
To wre na przemian, to się społem zetrze:
Jako tumany afrykańskich piasków,
Kiedy się zerwą i zmacą powietrze.

Z PIEŚNI XXXII KONIEC

Gdy z miejsc okropnych szukamy przechodu,
Dwóch potępieńców ujrzałem w parowie:
Wyższy niższemu głową legł na głowie;
A jak łakomie szarpiemy chleb z głodu,
Tak on zatopiłki w ciało sąsiada,
Tam, kędy czaszka do barków przypada.
Nie z takim gniewem Tydej zemstą ślepy
Menalipowej głowy gryzł czerepy,
Jak on swą zdobycz żuje i wysysa.
„Człowieku - rzekłem - co paszczą tygrysa
Mścisz się nad wroga nienawistną głową,
Powiedz mi, jakie masz zemsty powody,
A ja ci moją odpłacę wymową
Kiedyś pomiędzy ziemskimi narody,
Jeśli mię Pan Bóg żywcem stąd wydzwignie,
A język w ustach moich nie zastygnie”.

PIEŚN XXXIII

Od stawy dzikiej oderwał paszczękę
Ów potępieńiec, i krew z ust ocierał
Włosami czaszki, której mózg pożerał,
I mówi: „Srogą chcesz odnawiać mękę;

Serce mi pęka, nim usta otwieram.
Lecz gdy ze słów mych, jak z nasion, dojrzeje
Hańba dla zdrajcy, którego pożeram,
Słuchaj, wypowiem, wypłaczę me dzieje.
Nie wiem, kto jesteś, przez jaki cud nowy
Zaszedłeś do nas, lecz po dźwięku mowy
Poznaję w tobie Włocha, Florentina:
Widzisz przed sobą hrabię Ugolina;
A ten, co teraz jest mej zemsty łupem,
Zwał się Rudziery, był arcybiskupem.
Jak mię w zdradzieckie usidlono słowa,
Jak nieostrożnie wpadłem w jego ręce.
Nie warto mówić, bo rzecz nie jest nowa,
Lecz o mym zgonie, o mej strasznej męce.
Jeśli nikt wieścią uszu twych nie skaził,
Słuchaj i osądź, - czy on mnie obraził?

Jest w głębi wieży podziemna pieczara,
Sławna mym zgonem; dziś może w niej jęczy
Na nowo jaka niewinna ofiara.
Tam oknem, witym z żelaznych obręczy,
Widziałem mnogich księżyców oblicze,
Aż mnie raz we śnie przywidziana mara
Zdarła przyszłości chmury tajemnicze.
Przyśniło mi się, że biskup zawzięty
Polował wilka z małymi wilczęty,
Na owej górze, co wzniosłymi szranki
Z pizańską ziemią i Luką graniczy.
Już chudą psiarnię zemkniono ze smyczy;
Hrabia Gwalandi, Sismondi, Lafranki
Szczują na czele, zdobycz będzie łatwa:
Już wilk znużone zatrzymuje kroki,
Upada wreszcie i ojciec, i dziatwa;
I widzę kłami rozprute ich boki.
Budzę się! jeszcze noc nie zeszła z nieba,
Już moje dziatki, współniki niewoli,
Szlochają przez sen i wołają: chleba!
O, jeśli dotąd serce ci nie boli.
Kiedy pomyślisz, co się we mnie działo
I co me serce nadal przeczuwało,
Jeśli nie płaczesz, któż ci łzy wyciśnie?
Budzą się dzieci; wkrótce chwila błysnie,
W której nam zwykle udzielano strawy;
Lecz na sen pomnąc truchlałem z obawy,
Wtem z bram więzienia łoskot mię doleci -
Zamurowano! - Spojrzałem na dzieci,
Spojrzałem z niemej wyrazem rozpaczy;
A w głębi serca czułem mróz jak w grobie.
Gwido mój mały wołał: „Co to znaczy?
Tak dziko patrzysz? ojczcie mój, co tobie?”

Nie mogłem mówić ni łzy z oczu dostać;
Milczałem - długo - aż do nocy końca.
Nazajutrz do nas zbłądził promyk słońca
I w twarzach dzieci ujrzałem mą postać;
Natenczas z bólu gryzłem obie ręce.
Synowie myśląc, że mię głód tak pali.
Łamiąc łączęta, ze łzami wołali:
„Ojczy kochany, ulżyj twojej męce,
Zjedz twoje dzieci, tyś nas ubrał w ciało.
Tobie nas biednych rozebrać przystało”.
Musiałem milczeć i ból w sobie morzyć,
Wkrótce i mowa w ustach nam zamarła!
Jęczyć nie śmiałem, by dzieci nie trwożyć.
O! ziemio, czemuś ty nas nie pożarła!
Weszło czwartego dnia światło zabojcze,
Anzelmek mały przywlekl się pod nogi
I rozciągniony wołał: „Ojczy drogi!
Ach, czemu ty nas nie ratujesz, ojczy?”
Wołał i skonał! - Jak mnie tu widzicie,
Tak ja widziałem wszystkie dzieci moje,
Jedno po drugim, - wszystkich było troje,
Wszystkie u nóg mych zakończyły życie.
Od zwłok jednego do drugiego biegłem,
Ślepy na trupach potknąwszy się ległem,
Dzień jeszcze siódmy do słońca zachodu
Krzychałem z żalu, a na koniec - z głodu,
Bo głód był jeszcze sroższy od żałości”.

Skończył i dziko wywróciwszy oczy,
Na nowo usta w krwawą czaszkę broczy,
I jak pies, zębem zgrzytając, rwie kości.

PRZYPOMNIENIE

Z Aleksandra Puszkina

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary
I noc, w pół-przejrzystą szatę
Rozciągając nad głuchej stolicy obszary,
Spuszcza sen, trudów zapłatę:

Wtenczas mnie samotnemu rozmyślań godziny
W ciszy leniwo się wleką,
Wtenczas mnie ukąszenia serdecznej gadziny
Bezczynnemu srożej pieką.

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza
I trosk oblegają roje;
Wtenczas i Przypomnienie w milczeniu roztacza
Przede mną swe długie zwoje.

Ze wstrętem i z przestachem czytam własne dzieje,
Sam na siebie pomsty wzywam,
I serdecznie żałuję, i gorzkie łyżę leję,
Lecz smutnych rysów nie zmywam.

CZATY

(BALLADA UKRAIŃSKA)

Z ogrodowej altany wojewoda zdyszany
Bieży w zamek z wściekłością i trwogą.
Odchyliwszy zasłony, spojrział w łożę swej żony
Pójrzał, zadrzał, nie znalazł nikogo.

Wzrok opuścił ku ziemi i rękami drżącemi
Siwe wąsy pokręca, i duma.
Wzrok od łoża odwrócił, w tył wyloty zarzucił
I zawołał kozaka Nauma.

„Hej, kozaku, ty chamie, czemu w sadzie przy bramie
Nie ma nocą ni psa, ni pacholka?
Weź mi torbę borsuczą i jańczarkę hajduczą,
I mą strzelbę gwintówkę zdejm z kołka”.

Wzięli bronie, wypadli, do ogrodu się wkradli,
Kędy szpaler altanę obrasta.
Na darniowym siedzeniu coś bieleje się w cieniu:
To siedziała w bielźnie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy kryła w puklach warkoczy
I pierś kryła pod rąbek bielizny;
Drugą ręką od łona odpychała ramiona
Kłęczącego u kolan mężczyzny.

Ten, ściskając kolana, mówił do niej: „Kochana!
Więc już wszystko, jam wszystko utracił!
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki ściśnienia
Wojewoda już z góry zapłacił.

Ja, choć z takim zapalem, tyle lat cię kochałem,
Będę kochał i jęczał daleki;
On nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabrzączał,
Tyś mu wszystko przedała na wieki.

Co wieczora on będzie, tonąc w puchy łabędzie,
Stary łeb na twym łonie kołysał,
I z twych ustek różanych, i z twych liców rumianych
Mnie wzbronione słodczyce wysysał.

Ja na wiernym koniku, przy księżycu promyku,
Biegę tutaj przez chłody i słoty,
Bym cię witał westchnieniem i pożegnał życzeniem
Dobrej nocy i długiej pieśczoćy!”

Ona jeszcze nie słucha, on jej szepce do ucha
Nowe skargi czy nowe zaklęcia:
Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda z kozakiem przyklęknęli za krzakiem
I dobyli zza pasa naboje,
I odcięli zębami, i przybili szęćflami
Prochu garść i grankulek we dwoje.

„Panie! - kozak powiada - jakiś bies mię napada,
Ja nie mogę zastrzelić tej dziewczki;
Gdym półkurcze odwoździł, zimny dreszcz mię przechodził
I stoczyła się łza do panewki”.

„Ciszej, plemię hajduce, ja cię płakać nauczę!
Masz tu z prochem leszczyńskim sakiewkę;
Podsyp zapal, a żywo sczyść paznokciem krzesiwo,
Potem palnij w twój łeb lub w tę dziewczkę.

Wyżej... w prawo... pomału, czekaj mego wystrzału,
Pierwej musi w łeb dostać pan młody”.
Kozak odwiódł, wycelił, nie czekając wystrzelił
I ugodził w sam łeb - wojewody.

TRZECH BUDRYSÓW

(BALLADA LITEWSKA)

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzece:
„Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty, i miecze.

Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgieł Lachy sąsiady,
A książdz Kiejstut napadnie Teutony.

Wyście krzepcy i zdrowi, jedzcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was Bogi;
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

Jeden z waszych biec musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dziengi jak lodu.

Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty.

Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci;
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe,
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze
I innie stamtąd przywiezie synowę.

Bo nad wszystkich ziem branki miłsze Laszki kochanki,
Wesolutkie jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym człowiekiem,
Laszkę sobie przywozłem za żonę;
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów nie ma i nie ma,
Budrys myślał, że w boju poległi.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Ej, to kubał, w tym kubie nowogrodzkie są ruble?”
- „Nie, mój ojczu, to Laszka synowa”.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Pewnie z Niemiec, mój synu, wiesz kubał bursztynu?”
- „Nie, mój ojczu, to Laszka synowa”.

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,
Burka pełna, zdobyczy tam wiele,
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

SZANFARY

KASYDA Z ARABSKIEGO

Bracia moi! postawcie wielbłądy na nogi,
Dzisiaj Szanfary od was jedzie między wrogi;
Gotowe juki rzemień do garbów przycisnął:
Dalej w drogę, noc ciepła i księżyc zabłysnął.

Dalej! - jeśli przed skwarem na ziemi są cienie,
Dla męznego przed hańbą znajdzie się schronienie;
I nie będzie mu ciasno, jeśli przy rozumie
Gonić rozkosz a zgubie wymykać się umie.

Znajdę ja druhów, których przyjaźń więcej warta;
Znajdę płowego wilka i pstrego lamparta,
Hyjną, zdobycz kroki pędzącą chromymi.
To moi przyjaciele, - nie masz między nimi
Półgłówka, co mu tajnia w ustach nie doleży,
Co brata bładzającego z szyderstwem odbieży.
U nich na krzywdę zemsta, na gwałt moc gwałtowna.
Waleczni, ale w męstwie żaden mi nie zrówna.
Nieprzyjaciołom pierwszy ja skaczę do oczu,

A gdy przyjdzie łup dzielić, stoję na uboczu.
W dziale łupów łakomstwo chyżością zwycięża,
Ja czynię obyczajem dostatniego męża;
Nikt wielkością umysłu nie zdoła mi sprostać,
A kto czuje swą wyższość, godzien przy niej zostać.

Porzucam was i tęsknić nie będę za wami,
Których nie przyciągnąłem dobrodziejstw więzami
I do których nie lgnęł nigdy serce moje.
Dosyć mam towarzystwa, gdy zostało troje:
Serce waleczne, szabla, z której ognie biją,
I łuk złoty wielbłądzią krzywiący się szyją;
Przy którym pas bogaty, suta frędzla pływa,
Majdan gładko ciosany i tęga cięciwa,
Co tak żałośnie jęczy, gdy z niej grot wyleci,
Jako matka wydarte ścigająca dzieci.
Jam nie sługa pragnienia, co się w noc zaczają
I odstraszywszy żrebce, sam klacze wydają;
Jam nie tchórz ni za dziewic ogonem włóczęga,
Co w każdej drobnej sprawie rady ich zasięga.
Nie strusie serce moje; choć strach zakołata,
Nierównym pędem w piersiach jak wróbel nie lata.
Kto mię widział od rana do nocy śród gachów,
Brew malować, włos trefić w kąpielii zapachów?
Czy mię kiedy noc zbłąka, choć piaszczysta fala
Tumanami okręci i żwirem zawala?
Lecę na mej wielbłądce, wrą u nóg ukropy,
Krzemienie iskry sypiąc pryskają spod stopy.
O głodzie, choć najdłuższym, w wielkomyślnej dumie
Nigdy wspomnieć nie raczę, i tak go zatłumię.
Karmię się prochem ziemi, a głód nadaremnie
Pasując się wyznaje, że słabszy ode mnie.
Gdybym został w obozie, gdzież więcej napitków,
Więcej jadła niż u mnie do potrzeb i zbytków?
Ale mam duszę gorzką. co się z hańbą kłóci,
I jeśli was nie rzucę, dusza mię porzuci.
Teraz pragnienie skręca wnętrzności w mym łonie,
Jak nić różnie targaną na prządki wrzecionie.

Z rana wybiegam na czczo podobny wilkowi,
Co wygłodniały hasa i wiatr paszczą łowi,
I z pustyni w pustynie, w wąwozów rękawy,
Przeciska się włóczęga czatujący strawy;
A gdy na długich czatach darmo się utrudzi,
Wyje, wtórują wyciem towarzysze chudzi.
Jako z łonem niepełnym wschodni księżyc cieńki,
Tak zapadłe ich boki, wychudłe paszczęki.
Zęby dzwonią jak strzały we wróżka prawicy
Albo jak roje pszczelne, gdy wkoło rodzicy
Szumiącą polatują na pagórek rzeszą,

Gdzie drabinki bartnika gronami obwieszają.
Paszcza ich wychudzona. ponura i gniewna,
Gardziel rozdarta na kształt rozkłętego drewna.
Zawył; i oni wyją biegnąc na pagórki,
Jak płaczące farysa małżonki lub córki.
Umilknął; oni milczą. Wycie mu ulżyło,
I dla nich słyszeć równie wyjącego miło.
Zda się, że spólność głodu wnętrzości uciszy;
Znowu skarży się, znowu skarżących się słyszy,
Umilkł w końcu, umilkła wrzaskliwa gromada.
Lepiej w milczeniu cierpieć, gdy wrzask nic nie nada.

Jeśli do studni jadę, lecący pułk strusi
Daremnie grzmi skrzydłami, męty spijać musi.
Nie zgonił mej wielbłądki bystry ich wódz stada;
Ja dojeżdżam, spragniona zostaje gromada.
Jużem odjechał. - Ptastwo runęło na męty,
Wola ich rozciągnione, dziób ku studni zgięty
Jest posłem dobrych wieści; wre ciżba hałasem
Jak obóz karawany siedząceJ popasem.
Znowu śmignęły w górę, znowu w studnie wpadły,
Ścisnęły się na koniec i zręby obsiadły,
I ryczałem wypiwszy, rozwinęły loty,
Jak runące z oazy Beduinów rotty.

Ziemia twarda mnie družka, nieraz do jej łona
Tuliłem kark mój suchy i chude ramiona,
Których stawy sterczące tak policzyć snadno,
Jak kostki, co zrak gracza na ławę wypadną.

Jeżeli wojna tęskni za Szanfarym sługą,
Toć Szanfary jej służył i wiernie, i długo,
Dziś nieszczęście w mą duszę jak w piłkę zagrało,
Boleści podzieliły losem moje ciało.
Każda bieda najpierwej na mój kark się wsuwa.
Kiedy zasypiam, bieda u głów moich czuwa
I wytrzeszczywszy oczy patrzy, skąd ugodzić.
Troski kolejną febrę zwykły do mnie chodzić,
Ale od febry gorzej nie dają pokoju,
Lecą do mnie jak ptaki spragnione do zdroJu;
Sto razy je odpędzisz, i setnymi chmury
Znowu uderzą z boku i z dołu, i z góry.

Wiecie, jak w upał bosy lecę przez pustynie,
Podobny córce piasku, błyszczącej gadzinie.
Choć miękko wychowany i z przodków bogaty,
Alem syn Cierpliwości: włożyłem jej szaty
Na pierś, w której hyjenty przemieszkiwa Śmiałość.
Za obuwie na nogi włożyłem Wytrwałość.
Na stepach bez namiotu, w skwary bez pokrycia,

Jam wesół i bogaty, bo nie szczędzę życia.
W dniach szczęścia dostatkami nie byłem odęty,
Głupie lenistwo dla mnie nie miało ponęty.
Czyli z nadstawnym uchem za plotkami latał?
Czyli na cudzą sławę potwarze wymiatał?

Pamiętacie noc klęski! tę noc nie pogodną,
Noc tak straszliwie ciemną, tak okropnie chłodną,
Że Arab grzał się pałac własny łuk i groty.
Ja wybiegłem na boje śród mroku i słoty;
Przewodniczką mi była błyskawic pożoga,
Towarzyszami piorun, okropność i trwoga.
Osierociłem dzieci, owdowiłem żony,
Wróciłem, jakem wyszedł, nocą otoczony.
Nazajutrz, gdy spokojnie w Gumaiza leżał,
Mówiono o mnie w stepach, którem w noc przebieżał.
Zeszła się nieprzyjaciół dwoista gromada,
Jedna z nich zapytuje, druga odpowiada.
Słyszano, mówią, wczora nocne psów warczenie,
Zdało się, że wilk przebiegł lub hyjenu szczenię,
Albo ptak przebudzony skrzydłami gdzie musnął;
Bo pies zawarczał tylko i po chwili usnął.
Może to Diw przechodząc tyle szkody zrobił?
Może człowiek? - Nie, człowiek tylu by nie pobił.

Ja w dzień, gdy niebo wrzało ogniami letniemi,
Tak że zmije od skwaru skakały po ziemi,
W dziurawym płaszczu padłem na żwiry kipiące
I zdjawszy turban, głową wyzywałem słońce,
A włos mój brudu pełny, nie znający woni,
Kołtunami przylegał do niemytej skroni.

Łono pustyni, co się bez końca rozszerza,
Tak twarde i tak nagie jako grzbiet puklerza,
Nieraz całe bosymi przemierzyłem stopy;
Gdy ujrzałem nad głową skał podniebne stropy,
Na klęczkach pnąc się, jak pies, wlałem im na czoło.
Tam dzikie antelopy biegały wokoło,
Białonogie i wełną odziane bogatą,
Jak nadobne dziewice wlekącą się szatą;
I w oczy mi bez trwogi patrzyła gromada,
Bo myślały, że jestem kozieł, wódz ich stada,
Co mu rogi w tak długie piątrzą się ramiona,
Że wznosząc łeb, rogami dostaje ogona,
Albo nimi do skały przyczepia się szczytu
I wisi jako ptaszek w otchłani błękitu. -

FARYS

KASYDA NA CZEŚĆ EMIRA TADŻ-UL-FECHRA UŁOŻONA,
Janowi Kozłów na pamiątkę przypisana

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi
Znowu po modrym zwija się kryształ,
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi
Szyją łabędzią buja ponad fale:
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.

Już płynie w suchym morzu koń mój i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina.
Coraz chyżej. coraz chyżej,
Już po wierzchu żwir zamiata;
Coraz wyżej, coraz wyżej,
Już nad kłęb kurzu wylata.
Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego jak jutrzeńka błyska,
Na wołę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź, latawce białonogi!
Góry z drogi, lasy z drogi!

Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydzieram z jej łona;
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy
I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha.

Ówdzie granic pustyni pilnujące głązy
Dziką na Beduina pogładają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:

„O szalony! gdzie on goni,
Tam od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni
Ni palma zielonowłosa,
Ni białe łono namiotów,
Tam jeden namiot - niebiososa.

Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują”.

Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy.
Spojrzałem, aż dumne głazy
Zostały z dala ode mnie,
Uciekają rzędem długim,
Kryją się jeden za drugim.

Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył,
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem,
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
Trzykroć czarnym obwinał głowę moję wieńcem.

„Czuję - krakał - zapach trupi,
Jeździec głupi, rumak głupi.
Jeździec w piaskach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi.
Jeźdźce, koniu, pusta praca,
Kto tu zaszedł, nie powraca.
Po tych drogach wiatr się błąka
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest ta łąka,
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują” . -

Kracząc, lśniącymi szpony w oczy mi urągał,
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.
Któż się uląkł? - Sęp uląkł i uciekł wysoko.
Kiedym go chciał ukarać i majdan naciągał,
I gdym sępa oczyma poza sobą tropił,
Już on wisiał w powietrzu, jako plamka szara,
Wielkości wróbla - motyla - komara -
Potem się całkiem w błękicie roztopił.

Pędź, latawce białonogi!
Skały z drogi, sępy z drogi!

Wtenczas obłok zachodni wyrwał się spod słońca,
Gonił mię białym skrzydłem po błękitnym sklepie;
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim ja byłem na stepie.
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbę za mną świsnął:

„O szalony! gdzie on goni,
Tam pragnienie piersi stopi,
Obłok deszczem nie odkropi

Osypanej kurzem skroni;
Strumień na błoniu jałowem
Nie ozwie się srebrnym słowem;
Rosa nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot rozkradnie”.

Daremnie grozi! Pędzę i podwajam razy;
Obłok strudzony zaczął po niebie się słać,
Coraz niżej głowę skłaniać;
Potem oparł się na głazy.
A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Na koniec jak trup szemiał i w górach się schował.

Pędź, latawce białonogi,
Sępy z drogi, chmury z drogi!

Teraz oczy kręgiem słońca
Okręciłem koło siebie;
I na ziemi, i na niebie
Już nie było za mną gońca.
Tu natura snem ujęta
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy;
Tu żywioły drzemią w ciszy,
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka
Widząc pierwszą twarz człowieka. -

Przebóg! ja tu nie pierwszy! wśród piaszczystej kępy
Oszańcowane świecą się zastępy.
Czy błędzą, czy z zasadzki czatują na łupy?
Jeźdce w bieli i konie straszliwej białości!
Przybiegam - stoją; wołam - milczą; to są trupy!
Starożytna karawana,
Wiatrem z piasku wygrzebana!
Na skieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości.
Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte z ciała szczęki
Piasek strumieniem się toczy
I złowrogie szemrze jęki:
„Beduinie opętany!
Gdzie lecisz? tam huragany!”

Ja pędzę, ja nie znam trwogi.
Pędź, latawce białonogi!
Trupy, huragany z drogi!

Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię z daleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu tak do siebie szumiał:
„Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
Śmie deptać łądy, którem w dziedzictwie osiągnął?”
Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości łąd nogą trącił,
Całą Arabiją zmaćił
I jak gryf ptaka porwał mię w swe szpony.
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemie,
Ja zrywam się, walczę śmiało,
Targam jego członków kłęby,
Ćwiertuję piaszczyste ciało,
Gryzę go wściekłymi zębami. -

Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
Nie wydarł się; w pół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął
I leżał u nóg mych długim jak wał miejski trupem.

Odetchnąłem! ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy oczyma złotymi,
Wszystkie poglądały ku mnie:
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu miłe oddychać piersiami całami!
Oddycham pełno! szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu miłe poglądać oczyma całami!
Wyteżyło się me oko
Tak daleko! tak szeroko!
Że więcej świata zasięga,
Niż jest w kole widnokreśla.
Jak miło się wyciągnąć ramiona całami!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu.
Jak pszczoła topiąc żądło i serce z nim grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!
r. 1828. Petersburg

POEZJE OKRESU RZYMSKO - DREZDEŃSKIEGO

DO***

NA ALPACH W SPLÜGEN 1829

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady,
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoję widzieć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj, w tych podniebnych górach.
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach,
Wstrzymuję krok, wiecznymi utrudzony lody.
I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamglonym niebie,
Szukam Litwy i domku twojego, i ciebie;
Niewdzięczna! może dzisiaj, królowa biesiady,
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady,
Lub może się nowymi miłośkami bawisz,
Lub o naszych miłośkach śmiejąca się prawisz,
Powiedz, czyś ty szczęśliwsza, że ciebie poddani,
Niewolnicze schylając karki, zowią **Pani!**
Że cię rozkosz usypia i wesołość budzi,
I że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi?
Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybyś, moja miła,
Wiernego ci wygnańca przygody dzieliła?
Ach! Ja bym cię za rękę po tych skałach wodził,
Ja bym trudy podróżne piosenkami słodził,
Ja bym pierwszy w ryczące rzucił się strumienie
I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie.
I przeszłaby twa nóżka wodą nie dotknięta,
A całowaniem twoje ogrzałbym rączęta.

Spoczynek by nas czekał pod góralską chatą:
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,
A ty byś przy pasterskim usiadłszy płomieniu
Usnęła i zbudziła na moim ramieniu.

DO MATKI POLKI

WIERSZ PISANY W ROKU 1830

O matko Polko! gdy u syna twego
W źrenicach błyszczą genijuszu świetność,
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
Dawnych Polaków duma i szlachetność;

Jeśli rzuciwszy rówienników grono
Do starca bieży, co mu dumy pieje,
Jeżeli słucha z głową pochyloną,
Kiedy mu przodków powiadają dzieje:

O matko Polko! źle się twój syn bawi!
Klęknij przed Matki Boleśnej obrazem
I na miecz patrzaj, co Jej serce krwawi:
Takim wróg piersi twe przesyje razem!

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania,
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do męczeństwa... bez zmartwychpowstania.

Każde mu wcześniej w jaskinią samotną
Iść na dumanie... zalegać rohoże,
Oddychać parą zgniłą i wilgotną
I z jadowitym gadem dzielić łoże.

Tam się nauczy pod ziemię kryć z gniewem
I być jak otchłań w myśli niedościgły;
Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną jako wąż wystygły.

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie,
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił.
O Matko Polko! ja bym twoje dziecię
Przyszłymi jego zabawkami bawił.

Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbladnął obuchem
Ani się spłonił na widok powroza;

Bo on nie pójdzie, jak dawni rycerze,
Utkwić zwycięski krzyż w Jeruzalemie,
Albo jak świata nowego żołnierze
Na wolność orać... krwią polewać ziemię.

Wyzwanie przyszłe mu szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny,
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną sucha drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiety
I długie nocne rodaków rozmowy.

ROZMOWA WIECZORNA

1

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha;
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! słów nie mam dla Ciebie:
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha;
Najdalej władasz i służysz w pobliżu.
Król na niebiosach, w sercu moim na krzyżu.

I każda dobra myśl, jak promień, wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,
I nazad płynąc, znowu mię ozłaca,
Śle blask, blask biorę i blask mam za gońca.
I każda dobra chęć Ciebie wzbogaca,
I znowu za nią płacisz mi bez końca.
Jak Ty na niebie, Twój sługa, Tve dziecie
Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie.

Tyś król, o cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje nie zgojone rany,

I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany.
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz, jak sługa panu zaprzędany.
Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

2

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy,
Zły wnet ucieczką ratował się skórą,
Dobry zapłakał, lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz

Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!
Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy niżli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi - głos złego sumnienia!
Sędzio straszliwy! Tyś ogień rozdmuchał
Sumnieniu złemu - a Tyś mnie wysłuchał.

3

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy - cicho - na Twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną.

ROZUM I WIARA

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem jak chmurę przed słońcem:
Pan je wzniosł w niebo, jako tęczy koło,
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczyć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu:
I gdy mój naród złęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę i wspomni przymierze.

Panie! mą pychę duch pokory wzniecił;
Choć górną błyszczę na niebios błękicie,
Panie! jam blaskiem nie swoim zaświecił,
Mój blask jest słabe twych ogniów odbicie!

Przejrzałem niskie ludzkości obszary
Z różnych jej mniemań i barwą, i szumem:
Wielkie i mętne, gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne przed oczyma wiary.

I was dostrzegłem, o dumni badacze,
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,
Zamknięci w sobie, jak w konchy ślimacze,
Chcieliście, mali, obejrzeć krąg świata.

Konieczność - rzekli - wedle ślepej woli
Panuje światu, jako księżyc morzu.
A drudzy rzekli: Przypadek swawoli
W ludziach, jak wiatry w nadziemskim przestworzu.

Jest Pan, co objął oceanu fale
I ziemię wiecznia kazał mu zamać;
Ale granicę wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.

Darmo chce powstać z ziemnego pogrzebu;
Ruchomy wiecznie, ruchem swym nie władnie:
Im wyżej buchnął, tym głębiej upadnie,
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

A promień światła, który słońce rzuci,
Na szumnej morza igrając topieli
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli
I znowu w niebo, skąd wyszedł, powróci.

Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni;
Świat cię niezmiernym zowie oceanem
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.

Zdajesz się tykać brzegów widnokręga;
Daremnie z żaglem nawa leci chyża:
Opływa ziemię, niebios nie dosięga;
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi
I spadasz z gradem - tyś zawsze na ziemi!

A promień Wiary, którą Niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy
I twe pogodne zwierciadła oświeca;
Ach! ty bez Wiary byłbyś niewidomy.

ŚNIŁA SIĘ ZIMA

*Miałem sen w Dreźnie 1832, marca 23,
który ciemny i dla mnie niezrozumiany.
Wstawszy zapisałem go wierszem. -
Teraz, 1840, przepisuję dla pamiątki.*

Śniła się zima, ja biegłem w szeregu,
Za procesyją pod niebem, po śniegu.
Nie wiem, skąd wiemy, że na brzeg Jordanu
Idziem, i w górze odgłos: „Chwała Panu,
Pokój trzem królom, ludy! do Jordanu!”
Ludzie obok mnie szli dwoma rzędami,
Kobiety, starce i dzieci parami;
W bieli ubrani ci, co z prawej strony;
Ci, co na lewo, w żałobne opony,
Szli ze świecami w dół obróconymi:
Świece gorzały płomieniem do ziemi,
Jak złote strzały.
A ci bez światła szli, co po prawicy:
Każdy z nich w rękę niósł kwiat zamiast świecy.
Spojrzałem w twarze: są i mnie znajome;
Złąkłem się: wszystkie jak gład nieruchome.
Jedna osoba wyszła z prawej strony;
Kobieta, świeci okiem przez zasłony.
Stanęła przy mnie; wtem wybiegł chłopczyna
I o jałmużnę dla ojca zaklina.
Dałem grosz, ona dała tyle dwoje.
Znowu sześć dałem, ona znów we dwoje.
Zbiegli się widze, po złoto sięgamy,
Kto z nas da więcej, dajemy, szukamy,
Wstyd nam! już wszystko daliśmy, co mamy.
Lud łajał chłopcu: „Oddaj im, żartują”.
„Oddam - rzekł chłopiec - jeżeli żałują”.
Lecz nazad przyjąć już mi się nie chciało.
Postać mnie ręką przeżegnała białą.
Wtem weszło słońce - lato - śnieg nie spłynął

* *

Lecz jak ptak biały dwa skrzydła rozwinął
I skacząc leciał; niebo się odkryło,
I wkoło ciepło i błękitno było!

Uczułem zapach Włoch, róż i jażminu,
Różą pachnęła góra Palatynu.
Ujrzałem Ewę,
Jaką widziałem na Albańskiej Górze,
W białej sukience i ubraną w róże;
Motyle wkoło, ona między niemi
Zdała się wznosić i nie tykać ziemi;
Twarz piękna jako Przemienienie Pańskie;
Wzrok utopiła w Jezioro Albańskie;
Ciekawie patrzy, nie ruszy powieki,
Jakby w tej głębi modrej i dalekiej
Odbite swoje oblicze widziała
I przed jeziorem róże poprawiała.
Chciałem przywitać, lecz siły nie miałem.
Z gwałtownej chęci mówić - oniemiałem;
Lecz rozkosz moja, ach! ta rozkosz senna,
Któż ją opowie? - mocniejsza niż dzienna,
Lżejsza i miłsza; jawa ma żar słońca,
A sen łagodność i ciszę miesiąca.
Za ręce wreszcie jak siostrę ująłem;
Spojrzała ku mnie okiem niewesołem.
„O sestro moja, patrząc w to twe oko,
Czuję me szczęście tak dziwnie głęboko,
Że mi się zdaje, że jestem w kościele”.
Ona mi rzekła z uśmiechem dziecięcia:
„Rodzice moi chcą mię z innym swatać,
Lecz Ja jaskółka, chcę daleko latać;
Mam skrzydła dobre, patrz, jaki ptak ze mnie!
Lecę popłukać pióra moje w Niemnie.
Wiem ja o twoich wszystkich przyjaciółach,
Znajdę ich: leżą w grobach, po kościołach.
Muszę i w lasy, w jeziora przepadać,
I drzew popytać, i z ziołkami gadać,
One o tobie dziwne rzeczy wiedzą,
Wszystko, gdzieś chodził, co robił, powiedzą”.
Słuchałem - i mnie nie zdała się ciemna
Jej mowa, choć tak dziwna i tajemna.
I mnie się zdało, że sam lecieć mogę,
I prosiłem ją, by mnie wzięła w drogę.
Zląkłem się tylko, że chce na doliny
Isć pytać o mnie drzewa i krzewiny.
I przypomniałem nagle wszystkie błędy,
Chwile pustoty, szaleństwa zapędy,
I czułem serce tak mocno rozdarte,
Tak jej, i szczęścia, i nieba niewarte.
Wtem obaczyłem jaskółkę, z powrotem
Już leci: za nią jakby wojsko czarne:
Sosny i lipy, piołuny i cząbry,
Świadczyć przeciwko mnie -

Przebudziłem się - z obliczem ku niebu,
Z rękami na krzyż, jakby do pogrzebu.
Sen mój był cichy - łzy jeszcze płynęły
Gęsto po licach, i jeszcze wionęły
Świeżym zapachem i Włoch, i jażminu,
I Gór Albańskich, i róż Palatynu -

UCIECZKA

BALLADA

On wojuje - rok upłynął,
On nie wraca - może zginął.
Panno, szkoda młodych lat,
Od Książęcia jedzie swat.

Książę ucztujc we dworze,
A Panna płacze w komorze.

Jej źrenice, błyskawice,
Dziś jak dwie mętne krynice;
Jej lica, pełnia księżycy,
Dziś nikną, jak księżyc w nowiu;
Biada wdziękom, biada zdrowiu!

Matka troszczy się i biedzi,
Książę dał na zapowiedzi.

Swadźba jedzie szumnie, tłumnie.
Nie powiozą do ołtarza,
Powiozą mię do smętarza,
A pościelą chyba w trumnie.
Ja umrę, gdy on nie żyje,
Ciebie, matko, żal zabije.

Ksiądz w konfesjonale siedzi,
Czas, o córko, do spowiedzi.

Przyszła kuma, widma stara:
Wypędź księdza, wypędź klechę,
Bóg i wiara, sen i mara,
Kuma w biedzie ma pociechę,
Kuma stara umie wiele,
Ma kwiat paproć i car ziele,
A ty masz kochanka dary:
Przyszłam zrobić możne czary.

Włosy jego w węza splącz,
Dwie obrączki razem złącz,
Z lewej ręki krwi usącz;
A na węza będziem kłąć,
W dwie obrączki będziem dąć;
Musi przyjść i ciebie wziąć.

Panna grzeszy - jeździec śpieszy,
Klęto ducha - klątwy słuha;
Już odemknął zimny gmach:
Panno, Panno, czy nie strach?

Ucichł, usnął dwór zamkowy.
Panna czuwa. - Na zegarze
Bije północ, - milczą strażę,
Panna słyszy - dźwięk podkowy,
Brytan, jakby głosu nie miał,
Zawył z cicha i oniemiał.

Skrzypnęły dolne podwoje,
Stąpa ktoś w przysionkach długich,
I otwiera się drzwi troje,
Troje drzwi jedne po drugich.
Wchodzi jeździec cały w bieli
I usiada na pościeli.

Słodko, prędko czas ucieka.
Wtem koń zarżał, jękła sowa,
Zegar wybił. - „Bywaj zdrowa!
Koń mój zarżał. koń mój czeka;
Albo wstawaj, na koń siądź
I na wieki moją bądź.

Miesiąc świeci - jeździec leci
Po zaroślach i po krzaczach:
Panno, Panno, czy nie strach?

Rumak polem jak wiatr niesie,
Niesie lasem, - głucho w lesie;
Tu i owdzie wystraszona
W suchej jodle kracze wrona.
Po łozach wilcze żrenice
Migają się jako świece.

W cwał, mój koniu, koniu, w cwał!
Miesiąc na dół schodzi z chmur,
A nim zejdzie miesiąc z chmur,
Mamy sadzić dziesięć skał,
Dziesięć rzek i dziewięć gór;
Za godzinę pieje kur.

- Gdzie mnie wieszysz? - Gdzie? do domu.

Dom mój na górze Mendoga,
W dzień otwarta wszystkim droga,
W nocy jeździm po kryjomu.

- Czy masz zamek? - Tak jest, zamek,
I zamczysty, choć bez klamek.

- Mój kochanku, konia wstrzymaj,
Ledwie dosiedzę na łąku. -

- Moja luba, siodła imaj
Prawą ręką - co masz w ręku?
Czy to worek do roboty? -

Nie, to jest Ołtarzyk Złoty.

- Nie czas wstrzymać, pogoń bieży,
Słyszysz pogoń, tętnią błonia;
Już przed koniem przepaść leży,
Rzucaj książkę, puszczam konia.

Koń, jak gdyby zbył ciężaru,
Przemknął dziesięć sążni jaru.

Lecą bagnem przez manowiec,
Pusto wkoło. Błędny ognik
Tuż przed nimi, jak przewodnik,
Od grobowca na grobowiec
Przelatuje; gdzie przeleci,
Ślad błękitny za nim świeci,
A tym śladem jeździec leci.

- Mój kochanku, co za droga?

Tu nie znać śladu człowieka. -

- Dobra droga, kiedy trwoga;

Krzywo jedzie, kto ucieka.

Śladów nie masz do mych włości,

Bo nie wpuszczam pieszych gości:

Bogatego wiozą cugi,

Ubogiego niosą sługi.

W cwał, mój koniu, koniu, w cwał!

Błyska zorza z wschodnich stron,

Za godzinę bije dzwon.

Nim uderzy ranny dzwon,

Mamy sadzić parę skał,

Parę rzek i parę gór:

Za godzinę drugi kur.

- Mój kochanku, wstrzymaj wodze!

Koń się lęka, bokiem sadzi,

Pełno skał i drzew na drodze,
Koń o drzewo mię zawadzi. -
- Moja luba, jakie sznurki,
Jakie wiszą tam kieszonki? -
- Mój kochanku, to paciórki,
To szkaplerze i koronki. -

- Sznur przeklęty! sznur znieca
Rumakowi miga w oczy,
Patrz, jak zadrzał, bokiem skoczy.
Moja luba, rzuć te cacka!

Koń, jak gdyby pozbył trwogi,
Ubiegł prosto pięć mil drogi.

- Co to za smętarz? mój miły? -
- To mur, co mych zamków strzeże. -
- A te krzyże, te mogiły? -
- To nie krzyże, to są wieże.
Mur przeskoczym, przejdziem progi,
Tu na wieki koniec drogi.

Stój, mój koniu, koniu, stój!
Przebyłeś, nim zapał kur,
Tyle rzek, i skał, i gór,
A tuś zadrzał, koniu mój?
Wiem ja, koniu, czego drżysz:
Mnie i tobie boli krzyż.

- Czegoś stanął, mój kochanku?
Zimna rosa mię splukała,
Zimno wieje wiatr poranku,
Okryj płaszczem, bo drzę cała. -
- Moja luba, przytul skronie!
Na twych piersiach głowę złożę.
Głowa moja ogniem płonie
I kamienie ogrzać może.

Jaki masz tam ćwiek ze stali? -
- To krzyżyk, co matka dała.
- Ten krzyżyk ostry, jak strzała,
Twarz mi rani, skronie pali.
Precz mi z tym ćwiekiem ze stali!

Krzyż na ziemię padł i zniknął,
Jeździec Pannę wpoły ścisnął,
Z oczu i z ust ogniem błysnął,
Rumak ludzkim śmiechem ryknął.
Przeskoczyli cwałem mury,
Biją dzwony, pieją kury.

Nim ksiądz przyszedł na mszę ranną,
Zniknął koń z jeźdźcem i Panną.
Na smentarzu cisza była,
Stoją krzyże, głazy leżą:
Jedna bez krzyża mogiła
I ziemia ruszona świeżo.

Ksiądz nad grobem długo stał
I mszę za dwie dusze miał.

REDUTA ORDONA

OPOWIADANIE ADIUTANTA

Nam strzelać nie kazano. - Wstąpiłem na działo
I spojrziałem na pole; dwieście armat grzmiało.
Artyleryi ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi;
I widziałem ich wodza: przybiegł, mieczem skinął
I jak ptak jedno skrzydło wojska swego zwinął;
Wylewa się spod skrzydła ściśniona piechota
Długą czarną kolumną, jako lawa błota,
Nasypana iskrami bagnetów. Jak sępy
Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy.

Przeciw nim sterczy biała, wąska, zaostzona,
Jak głaz bodzący morze, reduta Ordona.
Sześć tylko miała armat; wciąż dymią i świecą;
I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpaczy,
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.
Patrz, tam granat w sam środek kolumny się nurza,
Jak w fale bryła lawy, pułk dymem zachmurza;
Pęka wśród dymu granat, szyk pod niebo leci
I ogromna łysina wśród kolumny świeci.

Tam kula, lecąc, z dala grozi, szumi, wyje.
Ryczy jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje; -
Już dopadła; jak boa wśród kolumn się zwija,
Pali piersią, rwie zębem, oddechem zabija.
Najstraszniejszej nie widać, lecz słyszać po dźwięku,
Po waleniu się trupów, po ranionych jęku:
Gdy kolumnę od końca do końca przewierci,
Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.

Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?
Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?
Nie, on siedzi o pięćset mil na swej stolicy,
Król wielki, samowładnik świata połowicy;
Zmarszczył brwi, - i tysiące kibitek wnet leci;
Podpisał, - tysiąc matek oplakuje dzieci;
Skiął, - padają knuty od Niemna do Chiwy.
Mocarzu, jak Bóg silny, jak szatan złośliwy,
Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże, -
Warszawa jedna twojej mocy się urąga,
Podnosi na cię rękę i koronę ściąga,
Koronę Kazimierzów, Chrobrych z twojej głowy,
Boś ją ukradł i skrwawił, synu Wasilowy!

Car dziwi się - ze strachu. drżą Petersburczany,
Car gniewa się - ze strachu mrą jego dworzany;
Ale sypią się wojska, których Bóg i wiara
Jest Car. - Car gniewny: umrzem, rozweselim Cara.
Posłany wódz kaukaski z siłami pół-świata,
Wierny, czynny i sprawny - jak knut w rękę kata.

Ura! ура! Patrz, blisko reducy, już w rowy
Walą się, na faszynę kładąc swe tułowy;
Już czernią się na białych palisadach wałów.
Jeszcze reduta w środku, jasna od wystrzałów,
Czerwieni się nad czernią: jak w środek mrowiaka
Wrzucony motyl błyska, - mrowie go naciska, -
Zgasł - tak zgasła reduta. Czyż ostatnie działa
Stracone z łoża w piasku paszczę zagrzebało?
Czy zapał krwią ostatni bombardyer zalał?
Zgasnął ogień. - Już Moskał rogatki wywalał.

Gdzież ręczna broń? - Ach, dzisiaj pracowała więcej
Niż na wszystkich przeglądach za władzy książęcej;
Zgadłem, dlaczego milczy, - bo nieraz widziałem
Garstkę naszych walczącą z Moskali nawałem.
Gdy godzinę wołano dwa słowa: pał, nabij;
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi;
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność;
Na koniec bez rozkazu pełnią swą powinność,
Na koniec bez rozwagi, bez czucia, pamięci,
Żołnierz jako młyn palny nabija - grzmi - kręci
Broń od oka do nogi, od nogi na oko:
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko
Szukała, nie znalazła - i żołnierz pobladnął,
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął;
I uczuł, że go pali strzelba rozogniona;
Upuścił ją i upadł; - nim dobiją, skona.

Takem myślił, - a w szaniec nieprzyjaciół kupa
Już łązła, jak robactwo na świeżego trupa.

Pociemniało mi w oczach - a gdym łązy ocierał,
Słyszałem, że coś do mnie mówił mój Jenerał.
On przez lunetę wspartą na moim ramieniu
Długo na szturm i szaniec poglądał w milczeniu.
Na koniec rzekł; „Stracona”. - Spod lunety jego
Wymknęło się łąz kilka, - rzekł do mnie: „Kolego,
Wzrok młody od szkieł lepszy; patrzaj, tam na wale,
Znasz Ordoną, czy widzisz, gdzie jest?” - „Jenerale,
Czy go znam? - Tam stał zawsze, to działo kierował.
Nie widzę - znajdę - dojrzę! - śród dymu się schował:
Lecz śród najgęstszych kłębów dymu ileż razy
Widziałem rękę jego, dającą rozkazy. -
Widzę go znowu, - widzę rękę - błyskawicę,
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę,
Biorą go - zginął - o nie, - skoczył w dół, - do lochów”!
„Dobrze - rzecze Jenerał - nie odda im prochów”.

Tu blask - dym - chwila cicho - i huk jak stu gromów.
Zaćmiło się powietrze od ziemi wylomów,
Harmaty podskoczyły i jak wystrzelone
Toczyły się na kołach - lonty zapalone
Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
Prosto ku nam; i w gęstej chmurze nas ochłonał.
I nie było nic widać prócz granatów blasku,
I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku.
Spojrzałem na redutę; - wały, palisady,
Działa i naszych garstka, i wrogów gromady;
Wszystko jako sen znikło. - Tylko czarna bryła
Ziemi niekształtnej leży - rozjemcza mogiła.
Tam i ci, co bronili, -i ci, co się wdarli,
Pierwszy raz pokój szczerzy i wieczny zawarli.
Choćby cesarz Moskałom kazał wstać, już dusza
Moskiewska. tam raz pierwszy, cesarza nie słusza.
Tam zagrzebane tylu set ciała, imiona:
Dusze gdzie? nie wiem; lecz wiem, gdzie dusza Ordoną.
On będzie Patron szańców! - Bo dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, Jak dzieło tworzenia;
Bóg wyrzekł słowo **stań się**, Bóg i **zgiń** wyrzeczce.
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordoną -
Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż Pułkownika,
Tam w izdebce Pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze,
Wódz to był wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia Pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby - do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swoją kordelas i pas, i ładunki;
Stary żołnierz - on chce jak Czarniecki.
Umierając, swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli.
A lud modlił się klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze,
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej - a teraz płakali
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniło w kaplicy;
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już Moskal był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza,
Na pastuszym tapczanie on leży -
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewczę ma lica?
Jaką pierś? - Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica-bohater,
Wódz Powstańców - Emilija Plater!

NOCLEG

Nasz naczelnik nad trockim jeziorem
Po kowgańskiej potyczce nocuje.
Strzelcy leżą na kępie taborem:
Jeden rany swe mchem opatruje,

Drugi strzelbę przeczyszczą, nabija,
Kaptur z brzozy na zamek nasuwa;
Ten wpółseny pod głowę płaszcz zwija,
I usnęli. Straż stoi, wódz czuwa.

On pod drzewem coś дума w pomroce;
Drzewo suche - lecz miało owoce;
Najgłodniejszych ten owoc odstrasza;
Wiszą na nim dwie gruszki Judasza.

W górę szpiegi! Cesarskie to sługi:
Jeden, Prusak, z nogami długimi
W białych wisi pończochach; a drugi,
Żyd, pejsami zamiata po ziemi.

Nie śpi wódz. Na kolanach broń trzyma,
Wzrokiem szuka pagórka znanego:
Ten za wodą. Na wzgórku dom jego.
Dom w ciemności on żegna oczyma.

Wtem błysnęło nad wzgórkim... Czy piorun?
Piorun u nas nie bije w tę porę:
„O Najświętsza! o Maryjo z Borun!
Ratuj ich... ratuj dzieci... dom gore”.

„Gdzie jest patrol? Na konia! Do dworu!...”
Wtem słuchają... Łom trzeszczy, gwar ludzi,
I „Kto idzie?” - głos ozwał się z boru.
Patrol wraca i obóz się budzi.

„Wodzu! wielka dla ciebie żaloba;
Wraca patrol z wieściami Hijoba.
Jeden mówi: zarznęli twą żonę,
Drugi mówi: twe dzieci spalone,

„Lecz pojмали dowódcę Moskali”
„Kto on?...” - „Francuz, niestary, przystojny;
I w moskiewskiej on służbie wsie pali,
Za pieniądze lud siecze niezbrojny!...”

Wódz, jak gdyby rażony od gromu,
Na dom patrzył i milczał, i słuchał.
Z okien wszystkich żar sypał się z domu,
Z oczu wodza straszniejszy żar buchał.

I w obozie zbudzonym, zdumiałym,
Było głuche milczenie i zgroza,
Milczał wódz, jako broń przed wystrzałem;
Na dom patrzył - i krzyknął: „Powroza!...”

Przyskoczyły dwa katy, roskoły,
Stryczek mieli gotowy ze sznura,
Zakasali rękawy za poły
I oddarli mu kołnierz z mundura.

Wtem ktoś leci... „Kto idzie?” - „Lud z Bogiem!
Nasze hasło; poznajcie wiarusa!”
Zrzuca płaszcz... Ach, to mundur krakusa:
Biały surdut z czerwonym wyłogiem!

„Zbił Skrzynecki, zbił na łeb, na szyję,
Zbił pod Wawrem Rozena, Gejzmarą,
Nabrał jeńców i dział co niemiara,
Idzie w Litwę... Skrzynecki niech żyje!”

Krzyczał żołnierz i śmiał się, i szłochał...
Ach! kto miłej ojczyzny nie kochał,
Biedny! łzami nie płakał takimi...
A naczelnik?... On leży na ziemi.

Leżał krzyżem i długo się modlił.
Wstał i rzekł do Francuza: „Idź wolny!
Precz od nóg mych - byś nóg mych nie podlił!
Jam dziś karać nikogo niezdolny...”
29 marca 1832.

[JA W MEJ CHACIE SPAĆ NIE MOGĘ]
[PIEŚŃ ŻOŁNIERZA]

Ja w mej chacie spać nie mogę,
Chcę u ciebie spać, kolego,
Moje okna są na drogę,
A po drodze poczty biegną.

A gdy w nocy trąbka dzwoni,
Tak mi mocno serce skacze:
Myślę, że trąbią do koni,
I potem aż do dnia płaczę.

Oczy zamknę, to się marzy:
Nasze konie, chorągiewki,
Ogień nocny, krzyki straży
I wiarusów naszych śpiewki.

Ocykam się i w ocknieniu
Słyszę głos mego kaprała;
On mię klaszcze po ramieniu:
„Wstawaj! idźwa na Moskala!”

Wstaję, aż ja w pruskiej ziemi!
Jak tam lepiej leżeć w błocie.
W chłodzie. w głodzie i na słocie,
Ale w Polsce między swemi!

Już bym tej nocy nie zasnął,
A czekałbym na kaprała.
Gdyby znowu w ramię klasnął
Krzycząc: „Późdzwa na Moskala!”

POEZJE OKRESU PARYSKO - LOZAŃSKIEGO

CHŁOP I ŻMIJA

(BAJKA Z LAFONTAINA)

W pamiętnikach bestyjo-graficznych Ezopa
Jest wzmianka o uczynku miłosiernym chłopa
I o pewnego węża postępku łajdackim.

Chłop wyszedł zimnym rankiem po chrośniak do sadu,
Aż tu pod bramą wąż mu do nóg pada plackiem:
Przeziębły, wpół skostniały, przysypany szronem,
Już zdychał, już ostatni raz kiwnął ogonem.
Chłop zlitował się nad tą mizeryją gadu,
Wziął go za ogon, niesie nazad w chatę,
Kładzie go na przypiecku,
Podściela mu kożuszek jak własnemu dziecku
(Nie wiedząc, jaką weźmie od gościa zapłatę);
Póty dmucha, póty chucha,
Aż w nieboszczyku dobudził się ducha.
Nieboszczyk wąż jak ożył. tak się wnet nasrożył:
Rozkręcił się, do góry wyprężył się, syknął
I całym sobą w chłopa się wycela,
W swojego dobrodzieja, w swego zbawiciela
I wskrzesiciela!
„A to co się ma znaczyć - zdziwiony chłop krzyknął -
To ty w nagrodę dobrego czynu
Jeszcze chcesz mnie ukąsić? A ty żmii-synu!”
I wnet porwawszy dubasa,
Tnie węża raz pod ucho, drugi raz w pół pasa.
Odleciał ogon w jeden, a pysk w drugi kątek;
Rozpadło się żmijisko na troje żmijątek...
Darmo drgają
I biegają
Ogon za szyją, za ogonem szyja:
Już nie zmartwychwstanie żmija.

Przytrafia się to często, że dobry człek jaki
Niewdzięcznika przygarnie;
Ale trafia się częściej, że niewdzięcznik taki
Przepada marnie.

LIS I KOZIOŁ

Już był w ogródku, już witał się z gąską;
Kiedy skok robiąc wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano;
Ani pomyśleć o wyskoczeniu.
Chociaż wody nie było i nawet nie grząsko:
Studnia na półczwarta łokcia,
Za wysokie progi
Na lisie nogi;
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznokcia.
Postaw sięż teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, ażeby go dobił:
Nasz lis takich głupstw nie robił;
Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać do zła.
Zawsze maca wkoło zębem,
A patrzy w górę; jakoż wkrótce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrębem
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije;
Cmoka mocno, głośno chłepce
I tak sam do siebie szepce:
„Oto mi woda, takiej nie piłem, jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie.
Chce ini się całemu splukać,
Ale mi ją szkoda zbrukać,
Szkoda!
Bo co też to za woda!”
Kozioł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:
„Ej! - krzyknął z góry - Ej, ty ryży kudła,
Wara od źródła!”
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na zrąb i w nogi,

KRÓL CHORY I LISY

„Na ukaz Jego Lwiej Mości
dany do nas
(z *Jaskiniowska*
Zbójskiego, gdzie dla słabości
zdrowia ma Jego Królewska
Mość pobyt)
do Gabinetu
Ministrów, My, z ich kompletu
Zamianowani być przy Nim
na służbie, wiadomo czynim:
Po pierwsze:
z obywatelstwa
drapieżnego tudzież stanu
bydlego wybrać poselstwa
z tym, iżby, wskutek uchwały
powiatów, one udały
Się Najjaśniejszemu Panu
życzyć w najpoddańszy sposób
co jak najdłuższego życia. -
Po wtóre:
posłów brać z osób
zaszczytnie nam znanych z tycia.
Dan
rezydencja letnia
Jaskiniowsk,
1-go kwietnia.
Przy czym;
Ministra rozkazem,
postanowiono zarazem
posłom z ich towarzyszami
w tej podróży nadzwyczajnej
kazać jechać z pasportami
z Lwiej Kancelaryi Tajnej;
Za czym:
niech się nikt nie waży
ani z policyjnej straży,
ani nawet z dygnitarzy,
posła ukąsić lub drapnąć,
a tym mniej w pół drogi capnąć”.

Na ten rozkaz ode dworu
Baraństwo tudzież stan ośli
Pierwsi sejmikować pošli.
Pilnując się onych toru,
Wszyscy inni z pól i z borów
Zgromadzić się mają dzisiaj.
Tylko jedna giełda lisia
Wstrzymuje się od wyborów.

Skądże im ta taktyka? i co jej powodem?
Wydał to jeden stary urzędnik, lis rodem.
„Uważałem - rzekł - dawno trop wszelkiego zwierza
Przed i za Jaskiniowskim; upewniam was o tem,
Że pełno zewsząd śladów ku Monarsze zmierza,
Ale żadnego nie widać z powrotem”

TRÓJKA KONI

Z naszych poetów Litwy jeden bard Antoni
Miał trójkę koni.
Pamięć ich na ówczesnym została Parnasie
Tak żywa, że dziś mógłbym skryślić ich rysopis.
Nie dziw tedy, że gdy się wczora rozgadało
O dawnych rzeczach i o owym czasie,
Zapytałem: „Co się też z tymi końmi stało?”
Na to mi odpowiedział w te słowa Bajkopis:

„W przeznaczeniach tych koni była jakaś tajnia.
Postawiono je razem na obroku:
A po roku
Jeden drugiego nie mógł znieść ani widoku.
Chociaż żłób długi i przestronna stajnia,
Wszędzie im ciasno, wieczne parskania i bitki.
Musiałem w końcu sprzedać każdego z osobna.
Ale cóż stąd? Wyroków zmienić nie podobna!
Znowu kacap jeden sprzął je do swojej kubitki.
Zaledwie z miejsca, znowu pełno krzyku.
„Hej - zarżał Lezgin - ty w lewo, kucyku,
Precz z pyskiem, wiedz, że nie dam sobie dać w wędzidło!”
A Heciak: „Wej, ciarachy! dyć i my nie bydło;
Nie targajta, bo żgniema, że będzieta chramać!”
Wtem Kozak: „Ciszej, Lachy, wara dyszel łamać!
Nie buszujcie, niechaj no znajdziem się przy żłobie,
Oj, dam ja wam!” A oni; „Oj. damyż my tobie!”

Nuż wierzgać jak w najlepsze. Kacap do batoga
I z góry wzdłuż jak świśnie naprzód w Zaporoga,
Potem z boków raz po raz po Lezgu, po Chłopie, -
Nie było czasu brykać. Rwą w pełnym galopie
Trzy mile ukraińskie ku pocztowej szopie.
Rade, że w końcu, zatrzymawszy sanki,
Kacap dał im odetchnąć i wyspał trzęsianki.
Jadły razem, o kłótniach nie było i wzmianki.
Tak się tajnia tych koni odkryła przed światem;
Kłóca się nad obrokiem, godzą się pod batem.
Roku 1832.

TCHÓRZ NA WYBORACH

Po owej porażce zwierząt
Wszczął się w ich armiji nierząd.
Zwolona wojenna rada;
Z rady zwada:
Każdy każdemu się żali,
Każdy przed każdym się chwali
I każdy winę na każdego wali,
Tchórzowi tylko wszyscy pokój dali.
Obywatel tchórz w rządzie nie zasiadał
Ani wojskowo nie służył,
Więc w politycznym życiu się nie zużył.
Ufny w niepokalaną swą przeszłość, tak gadał;
„Obywatele! Czas jest przystąpić do kwestii:
Czemu przypiszem klęski tej kampanii?
Czy, że na wodza brak nam zdolnej bestii?
Nie! ale my ulegli przesądów tyranii.
Grzesznym przodków obyczajem
Nie tym buławę oddajem,
Których zasługa i talent wyniosą;
Ale tylko mamy w cenie:
Ci drapieżne urodzenie,
Tamci rogate znaczenie,
A owi socyjalne tłuste położenie.
Otóż dowódcy nasi, przypatrzcie się, kto są?
Lew prezes, istny pańskich ideał nałogów;
Radca zubr, już dziad, ledwie goni resztką rogów;
Niedźwiedź mruk. niech no stanie przed wojskiem, co powie?
Z lamparta byłoby coś, ale mu pstro w głowie;
Że pułkownik wilk sławny, toć tylko z rabunków
I z procesu, co zrobił owemu jagniątku; A o kwatermistrzu lisie
Lepiej przemilczeć, zda mi się,
Niżli zazierać do jego rachunków:

Sam się nie tai, że skory do wziętku.
Pominiemy odyńca; pan ten tylko pragnie
Skarbić zołędzie i spoczywać w bagnie,
Przywyklejszy doń niż do marsowego kurzu.
Co się zaś tyczy osła, ten był i jest błaznem”. -
Gdy tchórz tak gadał, rada, wrąc entuzjazmem,
Gotowa za krasomowstwo
Dać mu naczelne wodzowstwo,
Odezwała się nagle w jeden głos: „Żyj, tchórz!”
On, stropion krzykiem tym wśród perory,
Zmieszał się, owszem, dał czuć najwyraźniej,
Że był w gwałtownej bojaźni.
Dopieroż rozruch: „Precz z nim, fe, tchórz, a do nory!”
Szczęściem tuż była; wskroś sarkań i śmiechu
Wpadł w nią i rył bez oddechu.
Aż gdy na sążeń czuł się pod podwórzem,
Rzekł do siebie z ironią czystego sumienia:
„Ot proszę, co też to jest przesąd urodzenia,
Obrano by mnie wodzem, żebym nie był tchórzem”.
r. 1832

ŻABY I ICH KRÓLE

Rzeczpospolita żabska wodami i lądem
Szerzyła się od wieku, a stała nierządem.
Tam każda obywatelka,
Mała czy wielka,
Gdzie chciała, mogła skakać,
Karmić się i ikrzyć.
Ten zbytek swobód w końcu zaczynał się przykrzyć.
Zauważyły, że sąsiednie państwa
Używają pod królmi rządowego poddaństwa:
Że lew panem czworonogów,
Orzeł nad ptaki,
U pszczoł jest królowa ula;
A więc w krzyk do Jowisza;
„Króla, ojczy bogów,
Dajże i nam króla, króla!”

Powolny bóg wszechżabstwu na króla użycza
Małego jak Lokietek Kija Kijowicza.
Spadł Kij i pluskiem wszemu obwieścił się błotu.
Struchlały żaby na ten majestat łoskotu.
Milczą dzień i noc, ledwie śmiejąc dychać.
Nazajutrz jedna drugiej pytają: „Co słyszać?
Czy nie ma co od króla?” Aż śmielsze i starsze
Ruszają przed oblicze stawić się monarsze.

Zrazu z dala, w bojaźni, by się nie narazić;
Potem, przemóglszy te strachy,
Brat za brat z królem biorą się pod pachy
I zaczynają na kark mu włożyć.
„Toż to taki ma być król? Najjaśniejszy Bela?
Niewiele z niego będziemy mieć wesela.
Król, co po karku bezkarnie go gładzimy.
Niechaj nam abdykuje zaraz niedołęga.
Potrzebna nam jest władza, ale władza tęga.”

Bóg, gdy ta nowa skarga żab niebo przebija,
Zdegradował króla Kija.
A zamianował węża królem żabim.
Ten pełzacz, pływacz i biegacz,
Podśluchiwał i dostrzegacz,
Wszędzie wзира: pod wodę, pod kamienie, pod pnie.
Wszędzie szuka nadużyć i karze okropnie.
Arystokracja naprzód gryziona jest żabia,
Że się nadyma i zbyt się utłuszcza;
Gryziony potem chudy lud, że nie zarabia
I że się na dno biedy opuszcza;
Gryzione są krzykacze, że wrzeszczą namiętnie;
Gryzieni cisi, że śmia siedzieć obojętnie.

Tak gryząc je swobodnie, wąż do dziś dnia hula;
A Rzeczpospolita żab bolesnymi skwierki
Do dziś dnia woła o innego króla.
Lecz bóg nie chce się więcej mięszać w jej rozterki.

OSIEŁ I PIES

„Jeśli chcesz, ośle, by pies kochał ciebie,
Kochajże ty psa” - słowa są Lokmana.
Rozumiał je nasz osieł, boć już nie był źrebie,
Ale z nich drwił. Ta lekkość jak była skarana,
Opowiem dla was, byłą potomnych, nauki.

Ten osieł, niosąc jak zazwyczaj juki,
Szedł w ślad za panem; a za nimi z tyłu
Mający nad jukami i bydłem dozor,
Ledwie widny w kłębach pyłu,
Biegł pies, wywiesiwszy ozor.
Bogdaj takich dozorców! Przez drogi czas wszytek
Nie tknął się swego podwładnego łytek;
Owszem, bawiąc go, to z boku hercuje,
To się naprzód wysforuje,

Ogonem wciąż dla zachętu
Krętu-wętu.
Szli tak aż do południa.
Pan na skwar narzekał,
Siadł pod drzewem i zasnął.
Tegoć osiel czekał.
Obejrzał się i naprzód darń przy drodze siekał,
Potem postrzygać zaczął czubek miedzy;
Na koniec - przez rów hopsasa -
Widzi się w łące,
Jakoś mimo wiedzy.
Nie znalazł-ci tam przysmaków,
Chwastowiska ni bodziaków,
Lecz koniczyny do pasa.

„Będziesz się miała z pyszna!
Tylko ty, człowiecze,
Zmiłuj się, śpij!” - Tak westchnął i siecze a siecze.

Psu oskoma i pokusa:
„Mój osłosiu, od rana jestem na czczo, mdli mię;
Ty masz wędzonkę w jukach, aż stąd czuć po dymie;
Pozwól, że dam jej całusa.
Wiesz, jak zrobim? Ja stanę na dwie łapy dębkiem,
A ty przyklękni na jedno kolano”.
Nasz egoista, jak:by do muru gadano,
Siecz a żuje milcząc. Aż wreszcie półgębkiem
Wypchanym koniczyną: „Co się tu wałęsasz?
Poszedłbyś, psie, do nogi! Jak Jegomość wstanie,
Da ci się śniadanie!”
Odpowiedzi nie czekał
I obuszczak znowu
Tak zarwał trawy,
Że aż wygryzł w ziemi dołek,
Klnąc psa, że mu przeszkadza.
Wtem nagle, zza rowu,
Błysnął ku niemu parą krwawych świec wilkołek,
Biorąc go na cel i na tuj.
Wtedy do psa: „Bracie, broń, ciuciu, na tu, ratuj!”
A pies: „Ja nie twój Ratuj ani twój pan Broniec,
Nie wrzeszcz i łąki nie tratuj!
Czekaj, aż jegomość wstanie
Na waści obronienie i poratowanie.”
W tejże chwili wilk osła dorznął.
Ot i koniec.

KOZA, KÓZKA I WILK

(Z Lafontaine)

Sąsiadka koza, ta, co to rozwódka,
Z rodu Ostrorożanka, a tak rześka czołem,
Że śmie łeb na łeb rozmówić się z wołem
I nie da lada wiku brać się do podbródka,
Wczoraj w las idąc zbierać na domu potrzebę
Rokitę czy lipią skórkę,
Na gospodarstwie zostawiała córkę,
Której jest na imię Bebe.
A że młodym osobom pod niebytność matki
Rozliczne grożą przypadki,
Nakazuje dziecku srogo:
„Nie ruszać mi za próg nogą
I nie przyjmować nikogo, nikogo!
Jest tu wilk w okolicy; mam go w podejrzeniu,
Że zamyśla o czemś brzydkim;
Pilnuje drzwi, aż wrócę i dam znak kopytkiem,
Wołając cię po imieniu:
„Bebe!” Lepiej, że zgrzeszym ostrożności zbytkiem,
Niż gdyby miało kiedy być przysłowiem trodzie:
Mądra koza po szkodzie.”

O wilku mówiono w izbie,
A wilk tuż siedział na przyźbie;
Podśluchał. Matka z domu, a on wnet do córki:
Stuk i puk we drzwi komórki.
Wilk zwykle wyciem łaje albo grozi;
Lecz gdy prosić ma potrzebę,
Nieźle udaje śpiew kozi;
Więc jako mógł najkoziej odezwał się: „Bebe!
Otwórz!” - A kózka na to: „Przepraszam, nie można.
Mamy nie masz, jestem sama”.
On znowu: „Bebe, otwórz, to ja, mama”.
Na to znów kózka ostrożna:
„Głos wprawdzie matczyn; ale czyś ty matka,
Jak mogę widzieć, gdy zamknięta klatka?
Podejdźże tu i przez to pod progiem korytko
Pokaż mi na znak. kopytko”.
Wilk odszedł klnąc Bebę i mać jej z ruska brzydko.

Ta bajka jest po całym świecie znana z treści;
Lecz żeby ją dać poznać polskiej płci niewieściej,
Udawajmy, że wzięta z francuskiej powieści.

ŻONA UPARTA

Teraz tyle samobójstw, że czyhają straże
Nad rzeką. Niech no człowiek się pokaże,
Co na afisze nie patrzy
I od korzenników bladszy,
Niedbale utrzewiczony
I źle urękawiczniony:
Myślą, że się chce topić;
A więc pełni zgrozy
Ratują go od śmierci, a wiodą do kozy.

Taki to jakiś, po Sekwany brzegu,
Biegł przeciw wody, Żandarm zatrzymał go w biegu
I urzędownie pyta o powody
Tego biegu przeciw wody.
„Nieszczęście! - woła biedak - pomocy! ratunku!
Żona mi utonęła, żona, iż tak rzekę,
Wpadła mi w rzekę”.
A na to żandarm mu rzecze:
„O, praw hydrauliki nieświadom człowiecze!
Szukasz utopionego ciała w złym kierunku.
Ono z góry w dół płynie wedle praw przyrody,
A ty za żoną biegiesz przeciw wody?”
„Boć to ciało - rzekł szukacz - było w życiu dziwne,
Zawždy wszystkiemu przeciwne:
I domyślać się mam pewne powody,
Że popłynęło z rzeką przeciw wody”.

[GOLONO, STRZYŻONO]

U nas, kto jest niby chory,
Zwołuje zaraz doktory;
Lecz czując się bardzo słaby
Prosi chłopca albo baby.
Ci ze swego aptekarstwa
Potrafią i podagrze,
I chiragrze, i głuchotom,
I suchotom, i głupotom
Radzić. A i u nich wszakże
Nie masz na upór lekarstwa.

Mieszkał Mazur blisko Zgierza,
Któremu zginęła suka,
Straż domostwa i spichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się tydzień potem.

Ledwie poznał, że to ona;
Bo była wpół ogolona.

„O zbójce! żeby ją skryli,
Używają takich figli,
Że biedaczkę wygolili!”
„Powiedz raczej, że ostrzygli
- Robi mu uwagę żona -
Bo psów nie gola, lecz strzygą”.
„A no patrzajcieś no mi go, -
- Odpowie Mazur z przekazem -
Jakaś ty mi dyć uczona!
Mając gołe jak pięść lice,
Chcesz nauczać nas pod wąsem,
Co jest brzytwa, co nozyce?
Przecież dobrze, suko miła,
Ześ tu jest, choć ogolona”.
„I jam rada, że wróciła, -
- Odpowiada na to żona -
Choć wróciła ostrzyżona”.
„A nasz pan, co mu łysina
Przyświeca się jak ta psina,
Myślisz, że jest postrzyżona?...”
„A wąsiki ekonoma, -
- Odpowiada zaraz żona -
Co mu wiszą jak u soma,
A błyscą jak namascone,
Sąć gólone czy strzyżone?”
„Biez-ci licho tego soma
I pana, i ekonoma, -
- Dobroduszny Mazur rzecze -
Dobrze, ze suka jest doma,
Choć tak szpetnie ogolona”.
„Prawdę mówisz, mój człowiecze,
Toć i jam się ucieszyła
- Odpowiada zaraz żona -
Ze się suka powróciła,
Choć tak szpetnie ostrzyżona”.
„Głupiaś z twymi nozycami!”
„I ty z twoimi brzytwami!...”
„Ze golona, przypatrzże się!”
„Ze strzyżona, pokaze się!
A dyć-ze to nierówne cięcie,
Co jak kosa trawę siecze”.
„A dyć to w skórę zarznięcie,
Jak jak doktor... aż krew ciecze”.

Tak się kłóca mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk wkoło się rozlega:

„Ogolona!” „Ostrzyzona!”

Idzie sąsiad: „Niechaj przyjdzie.
Niech się wpatrzy i przekona”.
Jedzie Żydi „Podjedź no, Zydzie.
Czy golona, czy strzyzona?”
Od Żyda aż do plebana,
Od plebana aż do pana,
Sprawa zapieczętowana:
Co rzekł sąsiad, i Żyd potwierdził,
Pleban przyznał, to pan stwierdził:
Że wygrała męska strona,
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony,
Po drodze chłop pyta żony:
Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy jak zaklęta.
U progu suka ich wita;
„Pódź tu, moja ogolona!”
- Woła mąż, na to kobieta:
„Pódź tu, moja ostrzyzona!”

Mazur wściekł się, już nie gada
Ani żonie odpowiada,
Tylko wzięwszy pod rękawki
Wlecze ją wprost do sadzawki
I topi jak kadź ogórków.
Ona, nie nawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz;
On, trzymając za ramiona,
Gnębi krzycząc: „A no teraz;
Czy golona, czy strzyzona?”
Biedaczka, ze śmiercią w walce,
Czując skonu paraliże,
Wytknęła tylko dwa palce
I za odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok uciekł z wody.
Ona poszła do gospody,
On się puścił aż do Zgierza
I tam przystał za żołnierza.

LIRYKI LOZAŃSKIE

[BRÓŃ MNIE PRZED SOBĄ SAMYM]

Broń mnie przed sobą samym - maszże dość potęgi;
Są chwile, w których na wskrós widzę Twoje księgi,
Jak słońce mgłę przeziera, która ludziom złotą,
Brylantową zdaje się, a słońcu - ciemnotą.
Człowiek większy nad słońce wie, że ta powłoka
Złota - ciemna jest tylko tworem jego oka.
Oko w oko utapiam w Tobie ma źrenice,
Chwytam Ciebie rękami za obie prawice
I krzyczę na głos cały: Wydaj tajemnicę!
Dowiedź, żeś jest mocniejszy, lub wyznaj, że tyle
Tylko, ile ja, możesz w mądrości i w sile.
Nie znasz początku Twego; a czyi ludzkie plemię
Wie, od jakiego czasu upadło na ziemię?
Bawisz się tylko ciągle, badając sam siebie;
Cóż robi rodzaj ludzki? w swych dziejach się grzebie.
Twoja mądrość samego siebie nie dociecze.
A czyliż samo siebie zna plemię człowiecze?
Jeden masz nieśmiertelność; my czy jej nie mamy?
I znasz siebie, i nie znasz; my czy siebie znamy?
Końca Twojego nie znasz; my kiedyż się skończym?
Dzielisz się, łączysz; i my dzielim się i łączym.
Tyś różny: i my zawsze myślą rozróżnieni.
Tyś jeden: i my zawsze sercem połączeni.
Tyś potężny w niebiosach; my tam gwiazdy śledzim.
Wielkiś w morzach; my po nich jeździm, głąb ich zwiedzim.
O Ty, co świecąc nie znasz wschodu i zachodu,
Powiedz, czym się Ty różnisz od ludzkiego rodu?
Toczysz walkę z szatanem w niebie i na ziemi;
My walczym w sobie, w świecie z chęciami własnymi.
Ty sam na siebie wdziałeś raz postać człowieka.
Powiedz, czyś wziął na chwilę, czyś ją miał od wieka?

[PYTASZ ZA CO BÓG TROCHĄ SŁAWY MNIE OZDOBIŁ?]

Pytasz, za co Bóg trochę sławy mnie ozdobił?
Za to, com myślał i chciał. nie za to, com zrobił!
Myśli i chęci jest to poezja w świecie:
Wykwita i opada, jak kwiat, w jednym lecie.

Lecz uczynki, jak ziarna w głąb ziemi zaryte,
Aż na przyszły rok ziarna wydadzą obfite.
Przyjdzie czas, gdy błyszczące imiona pogniją,
Z cichych ziaren wywite kłosy świat okryją.
Huk mija, musim minąć z blaskiem i gawędą.
Błogosławieni cisi, oni świat posiędą.
Niechże prawdę zrozumie, kto Chrystusa słyszy;
Kto pragnie ziemię posiąść, niechaj siedzi w ciszy.

[GĘBY ZA LUD KRZYCZĄCE...]

Gęby za lud krzyzące sam lud w końcu znudzą,
I twarze lud bawiące na końcu lud znudzą.
Ręce za lud walczące sam lud poobcina.
Imion miłych ludowi lud pozapomina.
Wszystko przejdzie. Po huk, po szumie, po trudzie
Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie.

WIDZENIE

Dźwięk mię uderzył - nagle moje ciało,
Jak ów kwiat polny, otoczony puchem,
Pryśło, zerwane anioła podmuchem,
I ziarno duszy nagie pozostało.
I zdało mi się, że się nagle zbudził
Ze snu straszego, co mię długo trudził.
I jak zbudzony ociera pot z czoła,
Tak ocierałem moje przeszłe czyny,
Które wisiały przy mnie, jak łupiny
Wokoło świeżo rozkwitłego zioła.
Ziemię i cały świat, co mię otaczał,
Gdzie dawniej dla mnie tyle było ciemnic,
Tyle zagadek i tyle tajemnic,
I nad którymi jam dawniej rozpaczał, -
Teraz widziałem jako w wodzie na dnie,
Gdy na nią ciemną promień słońca padnie.
Teraz widziałem całe wielkie morze,
Płynące z środka, jak ze źródła, z Boga,
A w nim rozlana była światłość błoga.
I mogłem latać po całym przestworze,
Biegać, jak promień, przy boskim promieniu

Mądrości bożej; i w dziwnym widzeniu
I światłem byłem, i źrenicą razem.
I w pierwszym, jednym, rozlałem się błysku
Nad przyrodzenia całego obrazem;
W każdy punkt moje rzuciłem promienie,
A w środku siebie, jakoby w ognisku,
Czułem od razu całe przyrodzenie.
Stałem się osią w nieskończonym kole,
Sam nieruchomy, czułem jego ruchy;
Byłem w pierwotnym żywiołów żywiole,
W miejscu, skąd wszystkie rozchodzą się duchy,
Świat ruszające, same nieruchome:
Jako promienie, co ze środka słońca
Leją potoki blasku i gorąca,
A słońce w środku stoi niewidome.
I byłem razem na okręgu koła,
Które się wiecznie rozszerza bez końca
I nigdy bóstwa ogarnąć nie zdoła.
I dusza moja, krąg napętniająca,
Czułem, że wiecznie będzie się rozżarzać,
I wiecznie będzie ognia jej przybywać;
Będzie się wiecznie rozwijać, rozpływać,
Rosnąć, rozjaśniać, rozlewać się - stwarzać,
I coraz mocniej kochać swe stworzenie,
I tym powiększać coraz swe zbawienie.
Przeszedłem ludzkie ciała, jak przebiega
Promień przez wodę, ale nie przylega
Do żadnej kropli: wszystkie na wskroś zmaca,
I wiecznie czysty przybywa i wraca,
I uczy wodę, skąd się światło leje.
I słońcu mówi, co się w wodzie dzieje.
Stały otworem ludzkich serc podwoje,
Patrzyłem w czaszki, jak alchymik w słoje.
Widziałem. jakie człek żądze zapalał,
Jakiej i kiedy myśli sobie nalał,
Jakie lekarstwa. jakie trucizn wary
Gotował skrycie. A dokoła stali
Duchowie czarni, aniołowie biali,
Skrzydłami studząc albo niecąc żary,
Nieprzyjaciele i obrońcy duszni,
Śmiejąc się, płacząc - a zawsze posłuszni
Temu, którego trzymali w objęciu,
Jak jest posłuszna piastunka dziecięciu
Które jej ojciec, pan wielki, poruczy,
Choć ta na dobre, a ta na złe uczy.

ŻAL ROZRZUTNIKA

Kochanek, druhów! ileż was spotkałem!
Ileż to oczu jak gwiazd przeleciało!
Ileż to rączek tonąc uściskałem!
A serce? - nigdy z sercem nie gadało!
Wydałem wiele z serca, jak ze skrzyni
Młody rozrzutnik! lecz dłużnicy moi
Nic nie oddali. Ktoż dzisiaj obwini,
Że się rozrzutnik spostrzegł? że się boi
Zwierać w niepewne i nieznanne ręce!
Żegnam was, żegnam, nadobne dziewice;
Żegnam was, żegnam, o druhy młodzieńce!
Rozrzutnik młody, resztę skarbu schwycę,
W ziemię zakopię! nie czas resztę tracić.
Już czuję starość; mam żebrać w potrzebie?
Znalazłem tego, co zdoła zapłacić
Rzetelnie - z lichwą i na czas - on w niebie!

[SNUĆ MIŁOŚĆ...]

Snuć miłość, jak jedwabnik nić wewnątrz swym snuje,
Lać ją z serca, jak źródło wodę z wnętrza leje,
Rozkładając ją jak złotą blachę, gdy się kuje
Z ziarna złotego, puszczać ją w głąb, jak nurtuje
Źródło pod ziemią - W górę wiać nią, jak wiatr wieje,
Po ziemi ją rozsypać, jak się zboże sieje,
Ludziom piastować, jako matka swych piastuje.

Stąd będzie naprzód moc twa, jak moc przyrodzenia,
A potem będzie moc twa, jako moc żywiołów,
A potem będzie moc twa, jako moc krzewienia,
Potem jak ludzi, potem jako moc aniołów,
A w końcu będzie jako moc Stwórcy stworzenia.
1838, Lausanne

[GDY TU MÓJ TRUP...]

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
W oczy zagłada wam i głośno gada,
Dusza w ten czas daleka, ach, daleka,
Błąka się i narzeka, ach, narzeka.

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej,
I liczne mam serca mego rodzeństwo;
Piękniejszy kraj niż ten, co w oczach stoi,
Rodzina miłsza niż całe pokrewieństwo.

Tam, wpośród prac i trosk, i wśród zabawy,
Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami,
Tam leżę wśród bujnej i wonnej trawy,
Tam pędzę za wróblami, motylami.

Tam widzę ją, jak z ganku biała stąpa,
Jak ku nam w las śród łąk zielonych leci,
I wpośród zbóż jak w toni wód się kapa,
I ku nam z gór jako jutrzienka świeci.

NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ

Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki,
I woda tonią przejrzystą
Odbiła twarze ich czarne;

Nad wodą wielką i czystą
Przebiegły czarne obłoki,
I woda tonią przejrzystą
Odbiła kształty ich marne;

Nad wodą wielką i czystą
Błysnęło wzdłuż i grom ryknął,
I woda tonią przejrzystą
Odbiła światło, głos zniknął.

A woda, jak dawniej czysta,
Stoi wielka i przejrzysta.

Tę wodę widzę dokoła
I wszystko wiernie odbijam,
I dumne opoki czoła,
I błyskawice - pomijam.

Skalom trzeba stać i grozić,
Obłokom deszcze przewozić,
Błyskawicom grzmieć i ginać,

Mnie płynąć, płynąć i płynąć -
W Lozannie

[ACH, JUŻ I W RODZICIELSKIM DOMU...]

Ach, już i w rodzicielskim domu
Byłem złe dziecię,
Choć nie chciałem naprzykrzyć się nikomu,
A przecie.
Byłem między krewnymi i czeladzi gromadą
Przeszkodą i zawadą.
A choć wszystkich kochałem, ni w dzień, ni w nocy
Nie byłem nikomu ku pociesze ni ku pomocy -

[UCIEC Z DUSZĄ NA LISTEK...]

Uciec z duszą na listek i jak motyl szukać
Tam domku i gniazdeczka -

DO B... Z...

Słowiczku mój! a leć, a piej!
Na pożegnanie piej
Wylanym łzom, spełnionym snom,
SkończoneJ piosnce twej!

Słowiczku mój! twe pióra zzuż,
Sokole skrzydła weż,
I w ostrzu szpon, zołoto-stron
Dawidzki hymn tu nieś!

Bo wyszedł głos, i padł już los,
I tajne brzemię lat
Wydąło płód! i stał się cud!
I rozraduje świat.

[POLAŁY SIĘ ŁZY ME CZYSTE, RZĘSISTE...]

Polwały się łzy me czyste, rześiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i durną,
Na mój wiek męski, wiek kłęski;
Polwały się łzy me czyste, rześiste...

